

adeste⁺

Miesięcznik młodych katolików

NR 22 | LIPIEC 2019

ISSN 2544-7424

Po drodze z Panem Bogiem



www.adeste.eu

Adres do korespondencji:
Łąpiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca:
Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:
Bartłomiej Wojnarowski - bartlomiej.wojnarowski@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:
Piotr Bogdanowicz - piotr.bogdanowicz@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. harmonogramów i planowania:
Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:
Krzysztof Działlik - krzysztof.dziallik@adeste.eu

Redaguje zespół w składzie:
Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (kierownik portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudoł (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz,

Jan Buczyński, Michał Gójski, Marcei Hejwowski, ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i społeczeństwo), Piotr Ulrich

Współpracownicy:
Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Wojciech Gałek, Patryk Kępczyński, Piotr Krajski, Tymoteusz Pyda, Joanna Smarzyńska, Dorota Ślęzek, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Jakub Urbaniak, Olga Wachowiec, Marcin Worek.

Kadra techniczna:

Okładka, grafiki promocyjne, serwer
Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:
Maria Ulman

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu:
Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:
Mateusz Kosson

Graficy:
Emilia Witkowska i Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:
Zofia Bryłka

Dział korekty:
Kinga Grodzka (kierownik działu korekty), Dorota Białecka, Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i promocji) - promocja@adeste.eu, Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Agnieszka Jarmutowska, Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik, Piotr Władysław Sudoł.

Konsultacja teologiczna:
Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:
Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

Reguła św. Benedykta – zapomniane duchowe dziedzictwo zachodniego chrześcijaństwa	4
Tymoteusz Pyda	
Camino de Santiago – droga inna niż wszystkie	9
Piotr Bogdanowicz	
Wakacyjna walka	12
Mateusz Bednarek	
„Ja tu będę jeszcze dwa miesiące”	16
Marceli Hejnowski	
Pielgrzymowanie w ciszy – modlitwa Karmelu	20
Michał Gójski	
Wokół myśli estetycznej sir Rogera Scrutona – rozmowa z Łukaszem Serwińskim, prezesem fundacji inCanto	25
Szymon Kozieja	
Historia „pedofilii” (nie tylko w Kościele katolickim), cz. 1. Od początków do Soboru Watykańskiego II	31
Olga Wachowicz	
Kwadrans dla Chrystusa	37
Mateusz Bednarek	
„Proszę unikać stresu”	40
Marceli Hejnowski	
W służbie Króla	46
Wojciech Gałek	
Artysta ponad prawem	50
Jan Borowski	



Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Lipiec to nie tylko miesiąc wakacji, odpoczynku i zasłużonych urlopów, ale także czas poświęcony szczególnej czci Najświętszej Krwi Naszego Pana. Wielu z nas w najbliższym czasie wybierze się na pielgrzymkowe szlaki. Polska tożsamość przepiętna jest pielgrzymowaniem: oczywiście do Jasnogórskiej Pani, ale także do miejsc uświęconych opieką świętych w całej Europie. Polacy od wieków przebywają szlaki pielgrzymkowe takie jak chociażby Droga Świętego Jakuba.

Ostatecznie całe życie można postrzegać jako pielgrzymowanie, dążenie do Boga, przygodę ukierunkowaną ku Niemu. Wielu uważa, że pielgrzymowanie jest wpisane w naszą naturę, jesteśmy homo viator.

Taką pielgrzymką jest także nasza wiara – jest dynamiczna, zmusza nas do przekraczania siebie i swoich schematów po to, by spotkać się z drugim człowiekiem i Bogiem.

Staramy się, by każdy młody człowiek znalazł w „Adeste” coś dla siebie. Dlatego w obecnym numerze przygotowaliśmy teksty nieco lżejsze, wakacyjne, ale także poważniejsze, dotyczące duchowości i sensu pielgrzymowania.

W naszym miesięczniku nie uciekamy od tematów bolesnych, którymi żyje obecnie Kościół, jak wykorzystywanie seksualne i skandale. Postaramy się na nie spojrzeć z odpowiednią wrażliwością i rozwagą.

Zachęcając do lektury najnowszego, 22. numeru miesięcznika „Adeste”, powierzamy się Waszej wiernej modlitwie i pamięci.



Z darem modlitwy +
Bartłomiej Wojnarowski
Redaktor naczelny miesięcznika „Adeste”



źródło: wikipedia.org

Reguła św. Benedykta – zapomniane duchowe dziedzictwo zachodniego chrześcijaństwa

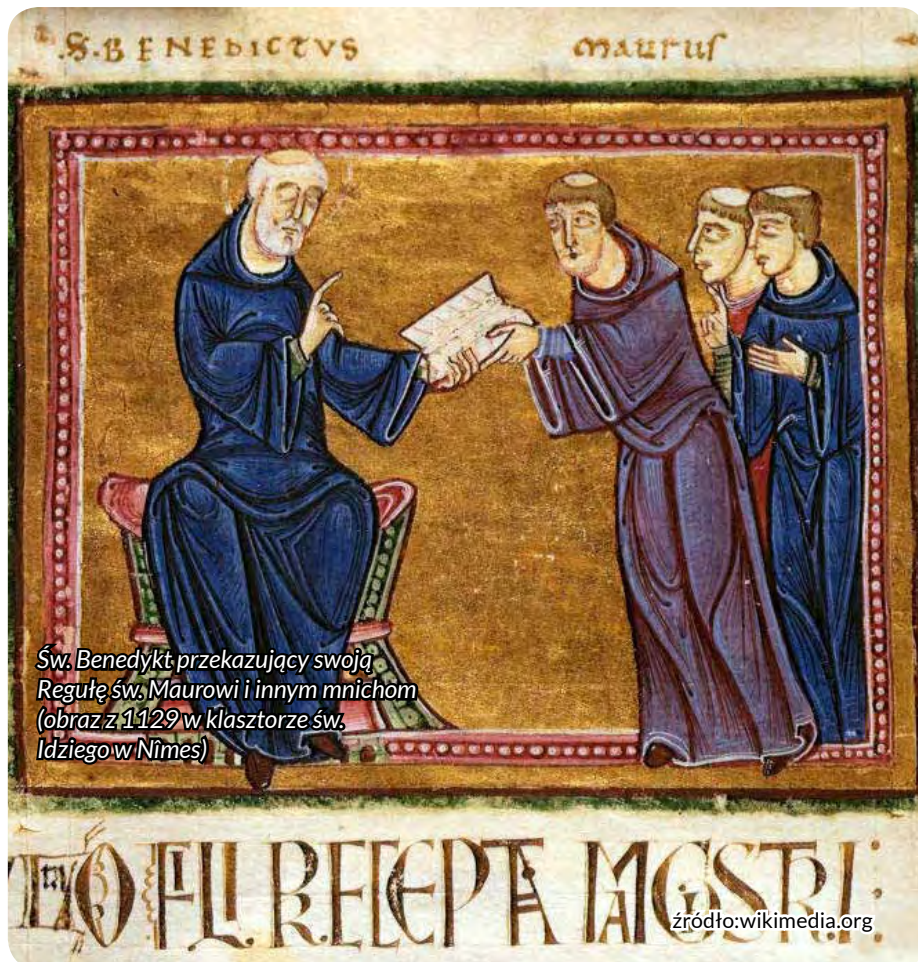


Tymoteusz Pyda

„Słuchaj, synu, nauk mistrza i nakłoń (ku nim) ucho swego serca. Napomnienia łaskawego ojca przyjmuj chętnie i wypełniaj skutecznie, abyś przez trud posłuszeństwa powrócił do Tego, od którego odszedłeś przez gnuśność nieposłuszeństwa” (reguła św. Benedykta, Prolog, 1-2). Słowa te rozpoczynają *opus vitae* św. Benedykta z Nursji. Niektórzy sądzą, że jego reguła nie przystaje do naszych czasów. Nic bardziej mylnego!

Zanim zaczniemy bronić pisarstwa o jego autorze. A był on przedstawionego wyżej dzieła, nie byle kim – pierwotnym bogatego właściciela ziemskiego, który postanowił zadbać o edukację potomka i wysłać go na studia prawnicze do Rzymu.

Przebywając w centrum ówczesnego cywilizowanego świata, nie mógł przystać na poziom moralny, jaki prezentowali jego rówieśnicy, i jako zaledwie dwudziestoletni młodzieniec postanowił udać się do pustelni, by całkowicie oddać się na służbę Bogu. Jak to zwykle bywa, dobrzy i święci ludzie przyciągają osoby spragnione Bożego pierwiastka i nadnaturalnej jasności, dlatego po niedługim czasie Benedykt zaczął otaczać gromada uczniów. Kolejnym „awansem” stała się dla niego prośba od mnichów z pobliskiego monasteru, aby został ich przełożonym. Gorliwy w swojej wierze, żył bardzo surowo, podobnych wyrzeczeń wymagał też od wszystkich braci w klasztorze. Z tego względu po pewnym czasie znów musiał ruszyć w drogę. Trafwszy na południe w 529 roku, założył placówkę w Monte Cassino. Tam zrodziło się w nim pragnienie opracowania reguły, która zrewolucjonizowała ówczesny świat. Do tej pory możemy obserwować jej wpływ na naszą cywilizację, a w niektórych miejscach także bezpośrednio go odczuć. Fundamentalne zasady tych kanonów to potrójne śluby, które kandydat musi złożyć, wstępując do klasztoru: stałość, posłuszeństwo oraz wierność regule. Benedykt zmarł wierny Bogu i założonej przez siebie wspólnocie.



Według tradycji przed śmiercią przyjął Komunię Świętą, po czym zmarł w postawie stojącej, podtrzymywany przez swoich uczniów. W 1964 roku, podczas obrad Soboru Watykańskiego II, św. Paweł VI ogłosił św. Benedykta patronem Europy.

Śłuchaj synu

Na samym początku warto sobie zadać pytanie: po co Benedykt stworzył swoją regułę? Nie był on człowiekiem, który szukał próżnej chwały i sławy, pragnął przecież odsunąć się od doczesności, aby znaleźć Tego, który jest wieczny. I właśnie temu, zarówno wtedy, jak i w czasach

dzisiejszych, ma służyć ten niedługi zestaw zasad – a mianowicie bardzo doczesnemu i konkretnemu doświadczeniu życia chrześcijańskiego. Autor oparł swój tekst na starożytnej nauce mistagogicznej, tj. tłumaczącej nowo ochrzczonym zasady i tajemnice chrześcijańskiego postępowania. Sam początek wskazuje na pewnego mistrza, mówiącego do człowieka błędzącego, który swojej wiary nie traktuje poważnie, jest nieposłuszny Bogu. Inne reguły od razu przechodzą do wskazówek i przepisów. Tutaj mamy ojca, który z miłości do synów mówi z głębi serca i pełni swego doświadczenia. Warto pamiętać,

że okres w którym działał św. Benedykt, to czas ogromnych zmian. Cesarstwo rzymskie upada, stare wzorce i metody odchodzą w zapomnienie. Człowiek szuka bezpiecznej przystani, gdzie znów będzie mógł rozumieć rzeczywistość, w której przychodzi mu żyć. Taką propozycją stają się klasztory benedyktyńskie. Z jasnym prawem, ze sprawiedliwym podziałem ról, gdzie zarówno najmłodszy, jak i najstarsi są obarczani pracą

według ich możliwości (co nie wszędzie było oczywiste). Opat staje się *alter Christus*, bo zbawić się można tylko wtedy, gdy wypełnia się wolę Boga, a ta często jest trudna do jednoznacznego nazwania. Skoro więc przełożony jest zastępcą Zbawiciela na ziemi, to trzymając się jego poleceń, człowiek staje się wykonawcą Bożego zamysłu. reguła wyraźnie pokazuje się jako odpowiedź na powołanie, gdzie Boża łaska zawsze nas uprze-

dza, jest pierwotna wobec naszego wyboru.

„Do ciebie (...), kimkolwiek jesteś”

Św. Benedykt kieruje swoją regułą do każdego. Nie rozróżnia w niej przedstawicieli żadnej grupy ówczesnego społeczeństwa. Wstępując do klasztoru, wszyscy stają się równi, mają taką samą szansę na sprawowanie różnych funkcji w klasztorze. Wszystko zależy od umiejętności samej osoby oraz od osądu opata (dlatego jego wybór musi być zawsze mocno przemyślany i przemodlony, bo przełożonym zostaje się na całe życie). Adresatem dzieła świętego z Nursji jest każdy, kto „wyrzeka się własnych chęci”, a decyduje się przede wszystkim słuchać Boga lub opata, jeśli jest mnichem (takiego zawężenia w samej Regule nie ma). Dlatego ten tekst także i dla człowieka XXI wieku stanowi bardzo cenne, choć nieco zapomniane, dziedzictwo duchowości zachodniego chrześcijaństwa. A co my możemy wziąć z niej dla siebie?

Milczenie i pokora

Człowiek współczesny to człowiek wiecznego aktywizmu, nieustannie zajęty, deadline coraz bliżej, a czasu coraz mniej. Benedykt zaprasza nas



do życia pełnego milczenia i pokory. Milczenia, które nie polega tylko na braku gadatliwości, ale wewnętrznym miejscu na usłyszenie Słowa Bożego. Osoba milcząca to taka, która więcej słucha i rozumie, niż mówi i poucza. O pokorze święty pisze przez cały rozdział siódmy. Rozumie ją jako zdolność do spojrzenia na siebie oczami Boga, który widzi człowieka takiego, jakim on naprawdę jest, bez upiększeń, ale i bez zaniżania oceny. Świadomość, że nie jestem wszechwiedzący i nie wszystko mogę, zrzuca ciężar bycia Atlasem podtrzymującym istnienie świata. Wystarczy zając się tym, co Bóg mi daje i czego ode mnie wymaga, a nie zbawiać rzeczywistość, która już na krzyżu uzyskała zbawienie. Mój egocentryzm przekształcać w chrystocentryzm.

Stałość i postępująca przemiana

Wielu ludzi, zapewne także i wielu z nas, stale dąży do zmiany, chce wszystko ulepszać i odczuwa ciągły brak czegoś. Propozycja Benedykta to z jednej strony odpowiedź na nasze pragnienia, czyli *conversatio morum* – odmiana życia (domyślnie w tryb monastyczny), która zakłada radykalne przyłgnięcie do Ewangelii i wprowadzanie jej w życie, cierpliwie dzień po



dni, pomimo upadków i słabości. Z drugiej strony proponuje stałość, czyli zaufanie Bożej Opatrzności, która dopuszcza u człowieka przeciwności na miarę jego sił. Kochający Ojciec próbuje swoje dzieci nie dla własnej zabawy, ale po to, aby je umocnić i zahartować w dobru.

Pokój i modlitwa osobista

Benedykt głęboko pragnął, aby ludzie kierujący się regułą wprowadzali pokój do swoich miejsc pracy i nauki, do środowisk, w których żyją, i wszędzie

tam, gdzie podróżują, a przede wszystkim we własnej rodzinie. Pokój jest możliwy tylko wtedy, gdy zaczerpniemy go od Księcia Pokoju, dlatego równie istotna jest wytrwała i regularna modlitwa. Mnisi są zobowiązani do liturgii godzin, aby cały dzień uświęcać i ofiarowywać go Panu. Ludzie świeccy nie zawsze mają taką możliwość, ale przeplatanie w ciągu doby nawet krótkich, ale systematycznych westchnień i rozmów z dobrym Bogiem pomoże nam w nabyciu przekonania, że mamy kochającego Ojca, który naprawdę się o nas troszczy i nigdy nas samych nie zostawia. Wtedy można prawdziwie zyskać pokój w sercu i dzielić się nim z tymi, którzy go rozpaczliwie poszukują, nie zawsze tam, gdzie można go znaleźć.

Umiar

Niezwykle istotny dla Benedykta jest umiar. Tak samo jest ważny w sprawach doczesnych: jedzenia, picia, ubioru, mieszkania i rozrywki, jak i w sprawach duchowych. Perfekcjonizm może stać się chorobą duszy i celem samym w sobie, umiar pozwala skupić się na Tym, do którego wszelkie działania mają nas zbliżyć. I choć cykliczna msza święta oraz polecana przez świętego praktyka *lectio divina* mogą nas niezwykle przybliżyć do Boga, to jednak łakom-

stwo duchowe trzeba zwalczać, poświęcając obowiązkom stanu wystarczającą ilość czasu. Asceza sama w sobie jest dobra, ale nie należy katować własnego ciała i być nieczułym na jego potrzeby, wszak to także dzieło Boże, które jest dobre.

Klasztor przedsięwzięciem Królestwa

Dziedzictwo świętego z Nursji jest przebogate. Sieć klasztorów rozsianych po całej Europie, które wiernie przechowywały dawną mądrość, a także wprowadzały innowacje i były prawdziwymi przyczółkami cywilizacji łacińskiej, także i dzisiaj może wiele dać nam – ludziom, którzy wzrok kierują bardziej wprzód niż za siebie. Wystarczy przychylnym okiem spojrzeć na teksty wielkich ojców minionych wieków i podążać za duchem ich natchnień (bo literatura czasem jest już przestarzała). Niech ostatni już cytat z prologu reguły będzie dla każdego dobrą motywacją na drodze do Królestwa: „Przepasawszy więc biodra wiarą i pełnieniem dobrych uczynków, podążajmy ścieżkami Pana za przewodem Ewangelii, abyśmy zasłużyli na oglądanie Tego, który nas wezwał do swego Królestwa” (reguła, Prolog, 21).



[Wszystkie cytaty z reguły św. Benedykta za: <http://www.benedyktyni.net/regula> (dostęp: 26 V 2019)].

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło:pixabay.com

Camino de Santiago – droga inna niż wszystkie



Piotr Bogdanowicz

Mijają właśnie 4 lata, odkąd wyruszyłem z progu własnego domu, by idąc drogami Europy, dotrzeć do hiszpańskiego sanktuarium w Santiago de Compostela, gdzie – jak głosi Tradycja – spoczywają doczesne szczątki św. Jakuba Apostoła. Było to 110 dni zmagania, 3658 km niepewności, miliony myśli i cisza. Cisza drogi, cisza przebywania sam na sam ze sobą, cisza przebywania z Bogiem. Czego ona mnie nauczyła?

Santiago to jedno z miejsc, oprócz Rzymu, Jerozolimy i Trondheim (daw. Nidaros szlakiem św. Olafa), do którego już we wczesnym średniowieczu pielgrzymowały tysiące pątników. Szlaki te tworzyły tzw. Krzyż Europy. Podobnie jest i dziś. Można wręcz powiedzieć, że piesze wędrowanie (gdyż nie każde wejście na pątniczy szlak nazwać można pielgrzymką) przeżywa swoisty renesans.

Spośród tych czterech dróg jedynie pielgrzymki do Santiago zachowały swój pieszy charakter, nieporównywalny z żadnym innym doświadczeniem. Każdego dnia Drogi św. Jakuba, którymi opleciona jest cała Europa od Sankt Petersburga po wybrzeża Atlantyku na Wyspach Brytyjskich, przemierzają pielgrzymi, którzy walcząc ze sobą – ze swoim ciałem, wadami charakteru, słabościami, brakiem wiary

– chcą coś przekazać temu, który chodził wraz z Chrystusem, Jemu towarzyszył i za Niego oddał życie.

Droga i cel

Trasa ta jest naprawdę niezwykłą drogą. Wychodząc na szlak, szukając pustyni, nie sądziłem, że pełna ona będzie ludzi, tych przypadkowych spotkań, z których każde uczy



pokonuje się w poszukiwaniu celu, nawet bliżej nieokreślonego, lub sensu, który sprawi, że dotychczasowy trud nie okaże się daremny, tym wyraźniejsza świadomość, że można przemaszerować różnymi drogami cały świat, lecz jeśli nie wejdzie się w życie na drogę miłości, ostatecznie okaże się ono zmarnowane. I za to zmarnowane życie trzeba będzie kiedyś odpowiedzieć.

czegoś innego. I nie ma znaczenia, czy rozmawiasz, czy jedynie gestykulujesz, szukając wspólnego języka z katolikiem, protestantem, prawosławnym, muzułmaninem, ateistą, poszukującym, lesbijką, świętym, grzesznikiem czy kimkolwiek innym (a ich wszystkich spotkasz na tej drodze). Samotność drogi i jej cisza uczą bycia sam na sam ze sobą, uczą całkowitego przyjęcia samego siebie w prawdzie, czyli czegoś, przed czym tak wielu dziś ucieka, bojąc się zmierzyć z tym, co noszą w swoich sercach – z ruinami, które tak bardzo bolą i wołają o miłość, a bywa, że również o sprawiedliwość. To doświadczenie uświadamia, że aby realnie spotkać się z drugim człowiekiem, trzeba wobec niego postąpić dokładnie tak samo, tzn. przyjąć go takim, jakim jest, otworzyć się na niego z tym wszystkim, co ze sobą niesie, bez oceniania i taniego mo-

ralizatorstwa. Bez tej podstawowej umiejętności nie istnieje możliwość budowania dialogu. Wtedy zamiast dialogowania bierze się udział w negocjacjach albo w monologu.

A cel? Wielu wciąż go szuka. Jest on na tyle ważny, że nadaje sens drodze. Ukierunkowuje ją, przemienia włóczęgostwo w pielgrzymowanie. Dziś wiem, że im więcej kilometrów, dni i lat

A co z wolnością?

Dopiero tam, w drodze, poznałem, czym jest. Była tym, co odcisnęło na mnie największe piętno i sprawiło, że wciąż różnie we mnie tęsknota za drogą. Nie jest to taka wolność, która objawiła się nagle i powiedziała: „rób, co chcesz”. Przeciwnie, kolejne dni i tygodnie marszu stawały się wielką szkołą, w której to ja dojrzewałem do przeżywa-





źródło: pixabay.com

nia własnej wolności. Poznałem ją niejako w trzech wymiarach, poznałem wolność od czasu, przestrzeni i ludzi.

Pokonawszy już lęk przed wyruszeniem w samotną drogę, przed wyrwaniem siebie z dotychczasowego życia i pogodziwszy się z tym, że przede mną nieznane, kiedy to wszystko się już stało, pomimo wyznaczonego celu zaczęły dziać się nietypowe rzeczy. Planując każdego

dnia kolejne odcinki, spoglądając na mapę, przestałem sprawdzać odległości w kilometrach, natomiast określałem je w godzinach albo dniach marszu. Coraz mniejsze znaczenie miał także czas. Najpierw w odstawkę poszły dni tygodnia, które zlewały się ze sobą. Nie miało żadnego znaczenia, czy jest poniedziałek, środa lub niedziela. Ale nie tylko to. Także podział czasu na godziny przestał spełniać swoją funkcję. Rytm życia wyznaczały

mi jedynie wschody i zachody słońca.

Najtrudniejszą wolnością okazała się jednak ta od ludzi. Samotność i jej cisza, które nieuchronnie prowadziły do konfrontacji z samym sobą, z własną przeszłością i jej mrokami. Przecież przed tym wszyscy właśnie uciekamy. Boimy się tego. To dlatego żyjemy w ciągłym hałasie, zabiegamy o to, by wciąż grała muzyka, łudząc się, że znajdziemy w niej ukojenie, a w rzeczywistości jest to ucieczka. Tymczasem Bóg mówi w ciszy. Dopiero w ciszy samotności okazało się, jak wiele problemów, spraw i wydarzeń znajduje swoje właściwe rozwiązanie poza sferą języka, muzyki czy dźwięku. To cisza pozwala tak naprawdę dogłębnie „wejść w samego siebie” i sięgnąć korzeni, tego, co stanowi moje „ja”. W ciszy odnalazła mnie Osoba, która towarzyszyła mi przez całą dalszą wędrówkę, ucząc mnie o tym, kim jestem. Trudne to były lekcje.

Tego nauczyła mnie droga do Santiago – i wciąż mnie uczy.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Wakacyjna walka



Mateusz Bednarek

Wakacje to czas odpoczynku, ale nie lenistwa. Zwłaszcza duchowe spoczęcie na laurach może okazać się opłakane w skutkach. Na drodze do wieczności i świętości, oprócz pomocy samego Boga i Najświętszej Maryi Panny, mamy zastępy boskich żołnierzy, którzy przetarli ten szlak przed nami. Zbierzmy zatem potrzebne rzeczy, spakujmy plecak i jedźmy na zasłużony odpoczynek, a towarzystwem niech będą dla nas słowa świętych.

Grzech niszczy człowieka. Niby wszyscy o tym wiedzą, a i tak przynajmniej raz w miesiącu lądujemy przy kratkach konfesjonatu. Czasem to wystarczy, jednak dla większej doskonałości winniśmy częściej przystępować do spowiedzi, nawet nie mając na sumieniu grze-

chu ciężkiego. Zapytajmy jednego z mistrzów życia duchowego, co o tym myśli. Św. Franciszku Salezy, co sądzisz o częstej spowiedzi świętej?

„Spowiadaj się pokornie i po-
bożnie co tydzień, a jeśli to możli-
we, przed każdą Komunią Świętą,

choćby sumienie nie wyrzucało ci żadnego grzechu śmiertelnego. Przez spowiedź otrzymasz bowiem nie tylko odpuszczenie grzechów powszednich, które wypowiadasz, ale ponadto wielką siłę do unikania ich na przyszłość, wielkie światło do ich rozeznawania i obfitą łaskę na wynagrodzenie

wszelkiej szkody, którą ci grzechy te wyrządziły. Ćwiczyć się też będziesz przez to w pokorze, w posłuszeństwie, w prostocie i miłości; i w tym jednym ćwiczeniu spowiedzi świętej, nabędziesz więcej cnót, niż w jakimkolwiek innym dobrym uczynku” (Św. Franciszek Salezy, Filotea).

No właśnie, brzmi jak ogromne wyzwanie. Ktoś sobie powie: no dobra, ale to już było. Św. Franciszek żył przecież w XVI wieku. Ale podobnie przecież myślał św. ojciec Pio, zdecydowanie bliższy nam czasowo – popatrzcie:

„Trzeba, abyś do spowiedzi świętej, która jest obmyciem duszy, przystępowała nie rzadziej jak co osiem dni; nie uważam za słuszną trzymanie dusz z dala od spo-

wiedzi świętej dłużej aniżeli osiem dni”

Święci przykładali zatem ogromną wagę do życia w łasce uświęcającej. Zanim jednak przystąpimy do krutek konfesjonału, musimy wypełnić pięć warunków dobrej spowiedzi. Pierwszym z nich jest rachunek sumienia, który okazuje się nieodzowny w przypadku chęci pogłębienia życia duchowego i postąpienia na drodze do świętości. Św. Ignacy Loyola robił podobno rachunek sumienia trzy razy dziennie, dokładnie badając każdą intencję, która mu przyświecała. Rachunek sumienia to skuteczny sposób na poznanie strategii przeciwnika.

Wojna podjazdowa

By pokonać wroga, trzeba znać jego taktykę – taką zasadę można zaimplementować do życia duchowego. Oprócz własnego doświadczenia upadków mamy również szereg wskazówek napisanych przez najlepszych i najwytrwalszych wojowników Kościoła. By czerpać z własnego doświadczenia, dobrze jest praktykować dokładny rachunek sumienia, a w tym może nam pomóc porada kolejnego ze świętych. Św. Jan Maria Vianney pisał w *Kazaniach proboszcza z Ars*:

„Jeśli chce się rachunek sumienia zrobić dokładnie, trzeba swoje serce i myśli oderwać na pewien czas od zajęć doczesnych, zejść w głąbiny serca i tam precyzyjnie badać liczbę grzechów. Te głąbiny dokładnie zna jedynie Bóg. Do Nie-



Ojciec Pio

źródło: wikimedia.org

go więc zwracamy się wtedy z pokorną prośbą i z ufnością – gorąco błagamy Ducha Świętego o światło, którego nam potrzeba. Rachunek sumienia trzeba robić każdego dnia wieczorem, a dokładniejszy raz na tydzień – wtedy przed samą spowiedzią łatwiej nam będzie poznać stan swojej duszy. Starajmy się sądzić siebie tak, jak kiedyś osądzi nas Jezus Chrystus” – tu również nie ma przebaczenia. Walka o świętość to najtrudniejsza batalia, jaką tocymy w życiu.

By zrobić dobry rachunek sumienia, warto zastanowić się, czy w danej sytuacji grzech faktycznie został popełniony, a jeśli tak, to jakiego kalibru. Definicję grzechu można znaleźć np. w Katechizmie Kościoła Katolickiego, można też poprosić o pomoc kapłana siedzącego w konfesjonale. My zajmujemy się pokusami, czyli jednym ze sposobów uprzykrzania nam życia przez przeciwnika. Wczytajmy się znów w zalecenia św. Jana Marii Vianney. W *Kazaniach Proboszcza z Ars* czytamy:

„Najczęstszymi pokusami są pycha i nieczystość. Jednym z najlepszych sposobów walki z nimi jest aktywne życie na chwałę Bożą. Tymczasem tak wielu ludzi poddaje się słabościom i nieróbstwu, nic więc dziwnego, że diabeł trzyma ich pod pantoflem.

Pewien mnich skarżył się przełożonemu, że cierpi z powodu gwałtownych pokus. Przełożony postawił go więc zaraz do pomocy w kuchni i w ogrodzie. Po pewnym czasie spytał, jak się ma, a ten odrzekł: »Ojcze, już nie mam czasu na pokusy«.

Gdy nadchodzi pokusa, trzeba z mocnym postanowieniem odnowić przyrzeczenia Chrztu Świętego. Kiedy jesteście kuszeni, ofiarujcie Bogu zasługę pokonania tej pokusy, by zdobyć przeciwną pokusie cnotę. Jeśli kuszeni jesteście pychą, ofiarujcie tę pokusę, aby otrzymać łaskę pokory; ofiarujcie pokusę złych myśli, aby otrzymać łaskę czystości; jeśli nadchodzi pokusa przeciw bliźniemu, prosicie o łaskę miłości. Ofiarujcie również pokusy w intencji nawrócenia grzeszników, gdyż to zniechęca szatana i odpędza go, ponieważ pokusa obraca się wówczas przeciw niemu samemu. Odwagi! Jeśli tak będziecie czynić, diabeł zostawi was w spokoju”.

Tak więc diabeł depcze słabych, a ucieka od silnych. Jeśli doświadczasz walki duchowej – odwagi, uciekaj się do Najświętszej Maryi Panny. Niech balsmem będą słowa św. ojca Pio:

„Umocnij ducha i nie lękaj się tej ponurej wściekłości Lucyfera. Zapamiętaj raz na zawsze, że jest to dobry znak, gdy wróg hałasuje

i ryczy wokół twojej woli, ponieważ okazuje jasno, że nie znajduje się w środku niej.

Odwagi, moja umiłowana córko! Wymawiam te słowa z wielkim uczuciem i w Panu Jezusie – krocz odważnie. Mówię, że nie trzeba się bać, jak długo możemy stanowczo, choć bez emocji wołać: Niech żyje Jezus!”. (Zbiór listów III. Korespondencja z córkami duchowymi, s. 410 [1915-1923]).

Nie daj się zwieść!

Usłyszałem kiedyś takie słowa, że relacja z Bogiem jest warta tyle, ile czasu poświęca Mu się w trakcie odpoczynku. Sprawa dyskusyjna i wieloaspektowa, ale wskazująca na jedną ważną rzecz – nasze przybrane synostwo trwa nieprzerwanie; na czas wakacji diabeł nie robi sobie fajrantu od zwodzenia nas, więc i my winniśmy trwać w Chrystusie i łasce uświęcającej. Ciągła refleksja w życiu duchowym jest niezwykle potrzebna, bowiem pozwala, przy pomocy łaski Bożej, zobaczyć prawdę i pokonać kłamstwo, którym karmi nas nieprzyjaciel. Bardzo trafnie ujął to św. Charbel Makhlof. W dziele *Orędzie z Nieba* czytamy:

„Zamiarem diabła jest zafałszowanie obrazu Boga w umyśle i sercu, zafałszowanie również



twojego obrazu w twoich oczach. On chce, żebyś błędnie pojmował Boga i mylił się co do samego siebie. Zakłamuje, zniekształca i zwodzi; tam gdzie powinienes się uniżyć, próbuje cię wywyższyć, a poniża cię, gdy zasługujesz na docenienie. Próbuje cię powstrzymać, kiedy powinienes iść i popycha cię do przodu, kiedy powinienes stać. Przez niego mówisz wtedy, kiedy powinienes zamknąć i milczyć, gdy twoim zadaniem jest wypowiedzieć się. Próbuje przekonać cię do pośpiechu, gdy należy zwolnić i spowalnia cię, kiedy trzeba, abyś przyspieszył. W każdym przypadku chce cię zwiść. Diabeł jest największym oszustem i fałszerzem, podstępny kłamcą; nasz Pan i Nauczyciel nazwał go ojcem kłamstwa.

Na początku diabeł sprawia, że człowiek się śmieje, aby na końcu wtrącić go w rozpacz. To właśnie wtedy, kiedy jeszcze się śmieje, zabiera go do piekła. Człowiek, który teraz weseli się z diabłem, z pewnością będzie później płakał.

Bóg może doprowadzić cię do łez na początku, lecz na końcu zawsze będzie radość. Twój płacz wywołany przez Boga ma cię zdyscyplinować, podczas gdy diabeł przychodzi cię rozweselić i sprawić, abyś się odwrócił od Pana. Kiedy natomiast Bóg daje ci radość, diabeł przychodzi i daje ci powody do płaczu; nie daj mu się oszukać.

W walce duchowej ważna jest radość i pogoda ducha, która nie ma nic wspólnego z głupim śmieszkowaniem. Pogoda ducha

daje siłę, by jeszcze mocniej zaufać Jezusowi. Niech słowa św. ojca Pio będą podsumowaniem przytoczonych tu wypowiedzi świętych: „Kroc z prostotą drogą Pana i nie zadręczaj swego ducha. Trzeba, abyś nienawidziła swoje błędy, ale z umiarkowaną nienawiścią, a nie przewrażliwieniem i zaniepokojeniem”. (Zbiór listów III. Korespondencja z córkami duchowymi, s. 579 [1915-1923]).

Odpoczywajmy zatem i nie dajmy się zwodzić. Bóg już zwyciężył grzech, śmierć i szatana. Jeśli Bóg z nami, któż przeciwko nam? Pomni tego, planujmy urlopy, wyjazdy i wycieczki na chwałę Pana i z radością. Zwracajmy się do Najświętszej Maryi Panny, bo ona jest tą, która miażdży głowę węża. Odwagi!

[Cytaty pochodzą z dwóch źródeł – ze zbioru myśli św. ojca Pio pt. *Dobrego dnia!* wydane-go przez Edycję św. Pawła oraz z broszury *Wielki Post*, wydanej przez Instytut Ks. Piotra Skargi.]

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło: yt.com

„Ja tu będę jeszcze dwa miesiące”



Marceli Hejwowski

Dietrichswalde – tak kiedyś nazywała się ta wieś. Ale niemieckość zachowała się w niej tylko w niepolsko brzmiącej nazwie Gietrzwałd. Położona około 20 kilometrów na południowy zachód od Olsztyna wieś stała się miejscem walki z kulturkampem. Miejscem strategicznym dla wojska pruskiego i – można by powiedzieć *Deus ex machina* – miejscem objawień Niepokalanej.

Rzecz działa się w 1877 roku, w lecie, od 27 czerwca do 16 września. Justyna Szafrńska i Barbara Samulowska wracały do domu. Ta pierwsza była chwilę wcześniej na egzaminach przed przystąpieniem do Pierwszej Komunii Świętej. To ona pierwsza ujrzała niezwykły widok.

Milcząca Pani na klonie

Nad klonem obok kościoła ukazała się milcząca Maryja z Dzieciątkiem Jezus. Siedziała na tronie. Obok niej anioły, które zakładały jej na głowę koronę. Dostrzec można też było niepokojący element – krzyż. Dlaczego ukazany został krzyż,

skoro Matka trzymała Dzieciątko? Czy oznaczał on cierpienia Polaków doznane pod zaborem? Czy może zwiastował zagrożenie dla całej Europy, wielką wojnę? Dotąd badacze objawień się o to spierają.

Najciekawsze jest to, że Maryja nie przemówiła ani tego

dnia, ani następnego. Dopiero trzeciego dnia, gdy Barbara Samulowska odmawiała pod klonem różaniec i zobaczyła Matkę Bożą, na pytanie: „Kto ty jesteś?” uzyskała odpowiedź: „Jestem Najświętsza Panna Maryja Niepokalanie Poczęta”. Gdy Barbara zapytała, czego chce, Niepokalana nakazała codziennie odmawiać różaniec. Obiecała, że jeśli ludzie będą się gorliwie modlić, to parafie pozbawione kapłanów odzyskają ich, a prześladowania Kościoła osłabną. Wszystko to mówiła po polsku, w lokalnej gwarze.

Coś, co może zadziwić, to zapowiedź Maryi z 3 lipca: „Ja tu będę jeszcze dwa miesiące”.

Pociągiem na Warmię

Wieść o tym rozniósł się po terenach dawnej I Rzeczypospolitej. Przez pobliską granicę przybywać zaczęli pątnicy z zaboru



rosyjskiego. Natomiast Polacy z zaboru pruskiego zaczęli masowo przyjeżdżać koleją. Wysiadali na oddalonej około siedmiu kilometrów stacji Biesal, po niemiecku Biessellen. Przybywali z książeczkami do nabożeństw i różańcami, modlili się i prosili dziewczynki, by zadawały Maryi pytania dotyczące najróżniejszych kwestii. W odpowiedzi na nie Matka Boża udzielała bardzo prostych rad, można by pomyśleć, że wręcz mówionych „na odwal się”, jeśli w ogóle wypada tak mówić w tej kwestii. Ktoś py-

tał: „co mają robić ludzie w nałogach?” Odpowiedź brzmiała: „niech zwalczą swoje uzależnienia”. Inny człowiek pytał: „co jest ważniejsze – różaniec czy msza święta?”. Odpowiadała: „msza święta”. Ktoś chciał wiedzieć, co warto zrobić dla rozwoju swej wiary. Mówiła: „pobożnie uczestniczyć w Eucharystii i słuchać uważnie kazań oraz katechez swoich proboszczów”. I tak dalej, i tak dalej. Wszystko bardzo proste, w katolickim duchu. Poza wezwaniem do codziennego różańca żadnego ważnego orędzia Maryja nie wystosowała. Owszem, pytana przez Basię i Justynę odpowiadała, ale zdawało się to nie być jej priorytetowym zadaniem. Tak jakby nim było po prostu siedzenie na tronie nad klonem w Gietrzwałdzie i gromadzenie przywabionego pogłoskami tłumu gapiów.



Ksiądz Krzysztof Bielawny, badacz tych objawień, stwierdził, że przez Gietrzwałd mogło

się „przewinąć” w tym czasie nawet pół miliona osób. To 5% ówczesnego narodu polskiego. Oddziaływanie Gietrzwałdu było mocne i nie ograniczyło się do Warmii. Po co to Niepokalanej było?

Napięcie rozładowane

Wydarzenia te rozegrały się w burzliwy czas. Kto bardzo wnikliwie czytał *Lalkę* Bolesława Prusa, ten być może pamięta, że właśnie w 1877 roku wybuchła wojna, na którą pan Wokulski poszedł i na niej się wzbogacił. Była to wojna rosyjsko-turecka. Zaczęła się 24 kwietnia. 22 czerwca wojsko rosyjskie dokonało sforsowania Dunaju, który był granicą stref wpływów. Od tego momentu konflikt stał się naprawdę poważny.

Wielka Brytania dostrzegła, że wzmocnienie Rosji kosztem zniszczenia Imperium Osmańskiego może zdecydowanie zachwiać równowagę na kontynencie. Równowagę, której utrzymanie od wieków pozostało kluczowe dla brytyjskiej polityki. Podjęto zatem działania, aby armii cara zadanie utrudnić. Do Polski przybył Munro Butler Johnston, postać okryta cieniem tajemnicy. Można jednak przypuszczać, że działał na zlecenie Londynu (lub przynajmniej pewnych wpływowych



grup politycznych w Londynie). Z pomocą takich postaci jak książę Adama Sapieha, którego czytelnik z pewnością z widzenia kojarzy, choć może o tym nie wie (to on pozował Matejce, gdy ten malował księcia Witolda na obrazie *Bitwa pod Grunwaldem*), zorganizował Rząd Narodowy, który miał przygotować naprędce powstanie. Johnston asygnował Sapiesze na tę sprawę dużą kwotę pieniędzy (ponoć było to 10 000 funtów szterlingów).

Miały też powstać, z wprawionych na różnych frontach polskich awanturników i żołnierzy, legiony na Węgrzech i Rumunii, które miały służyć jako oddziały dywersyjne.

Ale uwaga narodu zwróciła się na Gietrzwałd, nastroje re-

wolucyjne zanikły, a sam książę Adam przeszedł przemianę – z postępowego, insurekcyjnie nastawionego arystokraty w działacza społecznego często ofiarującego msze w intencji uzdrowienia narodu.

Misja Munro Butlera Johnstona zakończyła się fiaskiem, a w sprawie pożyczki musiał zadowolić się zwrotem, którego Sapieha prędko dokonał.

Nie trzeba mówić, że powstańcza zawierucha skończyłaby się krwawą pacyfikacją. Rosjanie skupieni byli na wojnie z Turkami i pokładali w niej wielkie nadzieje. Można sobie wyobrazić, z jaką furią zabraliby się za tłumienie dywersji na tyłach.

Zwycięstwo Hetmanki

Grzegorz Braun, który podczas konferencji (i w książce pod tym samym tytułem) *Gietrzwałd 1877*. Nieznane konteksty geopolityczne przypomniał te zapomniane raczej fakty (w powszechnej świadomości „po powstaniu styczniowym do I wojny światowej nic się nie działo”), wysnuł też o wiele śmielszą tezę, a raczej hipotezę. Sam stwierdził, że to są przypuszczenia; prawdopodobne, ale dla ich potwierdzenia trzeba by starannie przeszukać najrozmaitsze archiwa.

W Prusach przez cały czas trwania objawień trwały wielkie manewry wojskowe. Impreza dosyć kosztowna, zważając na to, że kanclerz Bismarck, cesarz Wilhelm i szef niemieckiego sztabu Helmut von Moltke obawiali się wojny na dwa fronty. Francja zbroiła się i szykowała na stosowną okazję, by odebrać swoje ziemie, które w konflikcie z Prusami utraciła. Może zatem niemieccy przywódcy chcieli przeprowadzić plan, który później podczas I wojny światowej „nie wypalił”, czyli uderzenia na jeden front, a później błyskawicznego przerzucenia kolejną armii na drugi front? Może do tego celu niezbędna była stacja Biesal (która była wielka jak na stację w małej miejscowości)? Może nagły ruch cywilny na linii kolejowej na Warmii sprawę im uniemożliwił? Może sztabowcy zgłupieli, czytając raporty o wielkich ruchach ludności, i uznali, że to jakaś rosyjska prowokacja?



Zachęcam do zapoznania się z konferencją czy też książką Brauna, w której różne geopolityczne aspekty zostały klarownie ukazane. Mam też nadzieję, że produkowany przez niego film na ten temat pogłębi naszą wiedzę i wykaże, w jakim stopniu hipoteza ta jest słuszna.

Co roku do sanktuarium przybywa wielu pielgrzymów. W 1977 roku zatwierdzono autentyczność objawień. Nie stałoby się to pewnie, gdyby nie wielki rozsądek proboszcza Weischla (*nota bene* Niemca, zresztą wszyscy księża w tej parafii byli tej narodowości), który ze starannością i pomocą fachowców

przebadał objawienia, pozostawiając dużą dokumentację.

Jakie przesłanie dla nas płynie z tego objawienia? Na pewno wciąż aktualne jest polecenie codziennego odmawiania różańca, które zresztą powtarza się w każdym maryjnym objawieniu. Dołożyć do tego powinniśmy wdzięczność Bogu, że przez Maryję wciąż udziela nam tak wielu łask. Warto również podjąć mocne postanowienie pracy nad tym, by nasza ojczyzna stawała się lepsza. Zrobili to już sygnatariusze utworzonej 27 czerwca 2018 roku w Warszawie Konfederacji Gietrzwałdzkiej, którzy zobowiązali się do ochrony chrześcijańskich wartości i obrony Polski przed obcymi wpływami.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?





źródło: pixabay.com

Pielgrzymowanie w ciszy – modlitwa Karmelu



Michał Gójski

Wśród licznych praktyk pobożnościowych tylko jedna ma sens, bo prowadzi niezawodnie ku Bogu. Odmawianie brewiarza, różańca, uczestnictwo we Mszy, pielgrzymowanie do sanktuariów nic nie daje, jeśli brakuje im – modlitwom zewnętrznym – modlitwy wewnętrznej, rozmowy z Bogiem. Święta Teresa Wielka, uznana przez św. Pawła VI za nauczycielkę kroczenia „głównym szlakiem modlitwy”, niech będzie i dla nas przewodniczką po niezwykle bogatym świecie życia wewnętrznego. Niniejszy tekst stanowi tylko wprowadzenie i zachętę do owego życia modlitwy – relacji z Bogiem.

Można całe życie ślizgać się po powierzchni. Autorzy książki *Teresia von Avila – Teresia von Jesus* twierdzą, że: „Można 20 lat być zakonnicą, wyśpiewywać w chórze liturgie i... nie mieć pojęcia o Chrystusie” (Nigg W., Loose H. N., 1981, s. 37). Można błąkać się wśród marności

świata, nawet nie skłaniając głowy ku rzeczom prawdziwie wartościowym, ale po co? Wewnętrznie człowiek czuje potrzebę czegoś więcej, jakiegoś ambitnego dążenia wciąż wyżej. Tutaj wkracza Chrystus Pan, który przemienia tak naprawdę, zupełnie, bez jakiegoś „ale”. Na

stałe. Zaprasza do już działającej rzeczywistości: „oto bowiem Królestwo Boże pośród was jest” (Łk 17, 21).

Czym jest modlitwa?

Nadanie naszej modlitwie głębszego wymiaru polega na

świadomym i dobrowolnym zawierzeniu się Jezusowi Chrystusowi. To Jego naśladowanie prowadzi do przestawiania w Jego obecności. Zgodnie z myślą św. Teresy sama modlitwa jest „nawiązaniem przyjaźni, podejmując wielokrotnie nawiązywanie jej sam na sam z Tym, o którym wiemy, że nas miłuje” (*Księga mojego życia*, 2010, s. 114). Tak naprawdę nie liczą się tu wyuczone formułki czy gesty, ale duchowe nastawienie na to, aby ponowić kontakt z Jezusem. Kardynał Anastasio Ballestrero (+1998),

komentując regułę karmelitańską, a pośrednio także naukę św. Teresy, pisał: „Chodzi o nieustanność, która nie zajmuje tylko czasu – co byłoby już czymś wielkim – ale bierze duszę, bierze życie” (*Życ w całkowitym oddaniu się Jezusowi Chrystusowi*, 2012, s. 67).

Nie można tego traktować w sposób mechaniczny, jako realizacji wyznaczonych punktów. Modlitwa wewnętrzna, tzw. modlitwa skupienia, to coś nowego każdego dnia, bo liczy się tak na-

prawdę tylko ta chwila, w której żyję. Kto wie, czy jutro też będę na tym świecie? Nie warto wracać do spraw minionych, bo nie mamy na ziemi czasu, żeby je roztrząsać. Przy systematycznym praktykowaniu takiej życzliwości z Bogiem, o jakiej mówi nam święta Teresa, zauważymy wzrost duchowy, który daje Bóg (por. 1 Kor 3, 6).

Początki życia duchowego

Mamy więc po pierwsze odpowiedź człowieka na Boże wezwanie, a po drugie podtrzymywanie relacji z Nim. Święta Teresa wyróżnia w życiu duchowym człowieka zdecydowanego na pójście za Jezusem siedem mieszkań znajdujących się w zamku jego własnej duszy. To znaczy, że naszym zadaniem jest poznać, iż jest już wewnątrz nas przedsmak życia wiecznego z Bogiem. Idąc dalej, powiedzmy sobie szczerze: bardzo mało jest tych, którzy wchodzą do pierwszych mieszkań. Najczęściej, na widok trudności na drodze życia duchowego, czyli „patrząc na rozmach twierdzy”, odchodzą od niej, nawet nie próbując zajrzeć. Bramę do zamku stanowią modlitwa i rozważanie. Jeśli przypomnimy sobie, że w siedmiu mieszkaniach przebywa Bóg (tj. w najtajniejszych zakątkach duszy, niejako w samym centrum zamku), zaraz też poznamy Jego



Święta Teresa, aut.
Alonso del Arco.

źródło: wikimedia.org



Rady św. Teresy

Święta wiele mówi o tym, że istnieją liczne rozproszenia na drodze duchowej. Dodaje, że sama ma problem z korzystaniem z wyobraźni: gdy chce cokolwiek podsunąć wewnętrznemu wzrokowi do rozmyślania, nie udaje jej się to (*Księga mojego życia*, 2010, s. 74). Nie dość, że nasza natura męczy się tym trudem, ciągłym wysiłkiem duchowym, koniecznym dla prowadzenia relacji z Panem, to jeszcze przeszkadza jej nasza własna nędza albo wrogowie zewnętrzni. Jako środki zaradcze Teresa podsuwa nam, bazując na własnym doświadczeniu, kilka możliwości: konsekwencję i zaangażowanie (chodzi o dyscyplinę, wyznaczenie jakiegoś konkretnego czasu w ciągu dnia – nie tygodnia! – na modlitwę wewnętrzną, na przykład przynajmniej 20 minut – choć wiemy, że święta praktykowała co najmniej godzinę), czytanie dobrych książek (ona sama, już jako dziecko, czytała żywoty świętych), podziwianie Boga wśród piękna stworzenia, kontemplację Jego obecności w naszym wnętrzu (żywy Bóg jest tak blisko, że bliżej się nie da!), częste przyjmowanie Komunii Świętej i przypominanie sobie o obecności Bożej za pomocą obrazów, rzeźb itp. Właściwie podaje jeszcze jedną, bardzo

wielkość, a naszą nędzę – jak w relacji stworzenia do Stworzyciela – lecz zarazem godność płynącą z tego, że tak wielki Pan zechciał zamieszkać wewnątrz nas (*Zamek wewnętrzny*, 2009, 35–36, 47).

Żywoł człowieka pielęgnującego życie wewnętrzne jest ciągłym przechodzeniem z mieszkań do mieszkań. Na początku bardzo często, na skutek niewyrobionych zdolności poznania samych siebie, błąka się on. a bez kierownika duchowego – szybko zupełnie się gubi (tamże, s. 65). Do ukojenia, odpocznienia w Bogu, prowadzi więc mozolna praca, prowadzą-

ca na późniejszych etapach do otrzymywania wewnętrznych i zewnętrznych darów Bożych, a w konsekwencji – do zjednoczenia z Bogiem. Etap pierwszych mieszkań to moment życia duchowego tych, którzy jeszcze bardzo łatwo wpadają w grzech ciężki. Nie dociera tutaj prawie w ogóle światło z miejsca, w którym przebywa Król, jak mówi Teresa (tamże, s. 50–51). Nie warto w tym miejscu rozwodzić się szczególnie nad budową zamku i charakteryzowaniem mieszkań. Lepiej zostawić to ludziom biegłym w życiu duchowym i przejść do studiowania spuścizny doktrynalnej tej świętej.

ważną rzecz do zaaplikowania: zdrowy rozsądek. Ostatecznie nie pozbedziemy się wszystkich rozproszeń i powinniśmy to sobie uświadomić.

Dobrze jest też rzucić okiem na inne praktyki, które pomagają w budowaniu życia duchowego. Mają one raczej wymiar zewnętrzny. Chodzi tu o częste, pobożne czynienie znaku krzyża, rezygnowanie z dóbr i przyjemności, a także kropienie wodą święconą siebie i miejsc naszego przebywania, co pomagało św. Teresie w walce z diabłem (tamże, s. 339).

Częstą wadą, którą nawet Teresa miała na początku swej drogi, jest brak konsekwencji w codzienności. Tam, gdzie łatwo przychodzi odrzucanie modlitwy wewnętrznej, rozmyślenia, lektury (zwłaszcza Pisma Świętego), nie będzie mowy o postępie na drodze duchowej. To tak, jakby pielgrzym chciał pójść dalej, ale ciągle leżał w łóżku. Rozpoczęcie nowego etapu wymaga dyscypliny. Jak już powiedziałem, nowy etap to tak naprawdę każdy nowy dzień, w którym możemy odwrócić się od rzeczy przyziemnych, a zwrócić ku niebiańskim. W opozycji do tego braku konsekwencji stoi zaufanie i zdecydowanie. To znaczy, że mamy zaufać Bogu, że nasze wysiłki ostatecznie nas

do Niego doprowadzą i czynić wszystko, żeby z nich nie rezygnować.

Na tej drodze modlitwy wewnętrznej oczywiste będzie porzucenie w końcu czci dla świata i pragnienia tej czci od świata. Ostatecznie drogą dla uzyskania świętości – niezależnie od tego, czy „na sposób” karmeliński, jezuicki, franciszkański, benedyktyński, czy w ogóle jakiegokolwiek – jest upodobnienie się do Jezusa Chrystusa. Punktem wspólnym życia każdego świętego jest myślenie: jak zrobiłby Jezus? Czego Jezus by oczekiwał? Czego ja pragnę od Jezusa? Zmiana naszego doczesnego sposobu myślenia na ten „wygórowany”, niezadowolający się byle czym, to wejście na drogę praktykowania obecności Bożej.

Zasadą naszego postępowania powinno być: „zwracanie zawsze uwagi na Boga i Jego chwałę we wszystkim, co robimy, co mówimy i czego się podejmujemy. Niech celem, do którego dążymy, będzie bycie »najdoskonalszymi czcicielami Boga w tym życiu«” (Wawrzyniec od Zmartwychwstania, *O praktykowaniu Bożej obecności*, 2007, s. 17).

Horyzonty

Modlitwa wewnętrzna, relacja z Bogiem, ciągła rozmowa z Nim, szukanie wciąż woli Bożej – oto sedno nauki terezańskiej. Warto więc skupić się na tym, co proponuje Teresa, a jeśli przykład tej świętej nas nie rozbudza, niech przemówi Papież, św. Paweł VI: „Wszystkie inne drogi są tylko ścieżynami o tyle poży-

XVI-wieczny rysunek przedstawiający ekstazę św. Teresy



źródło: wikimedia.org

tecznymi, o ile naprowadzają na główny szlak. Duch Święty chce, abyśmy powrócili na tę główną drogę, to jest do modlitwy, łączności z Bogiem, życia wewnętrznego. Taka jest lekcja świętej Teresy, Doktora Kościoła” (27 września 1970 r.).

Rozwinięciem życia wewnętrznego jest zupełna wolność od grzechu i jakichkolwiek niedoskonałości duchowych. Warto przy tym sięgnąć jeszcze do *Dzienniczka św. Faustyny* – tam zawarte są elementy wspólne z myślą św. Teresy Wielkiej, np. sposób objawiania się Jezusa jednej czy drugiej w mowach wewnętrznych czy widzeniach duchowych. Oczywiście nie

wszystkie dusze osiągają taki stan – jedne z własnej winy, inne z powodu takich, a nie innych zrząceń Bożych. Wszystkie łaski w trakcie postępowania na drodze duchowej są przecież zależne od Boga, ale ich osiągnięcie zależy także od naszej współpracy z Nim. W gruncie rzeczy, jeśli konkretnie podejść do sprawy modlitwy wewnętrznej, tej przyjaznej relacji z Panem, a więc także pełnienia woli Bożej, w krótkim czasie można dojść o wiele dalej niż dzięki rocznemu biczowaniu się i ostrym postom.

W tym artykule nie zawarto nawet kropli z oceanu doświadczeń drogi wewnętrznej. W rze-

czywistości świat duchowy jest tak bogaty, że dla każdego z nas jego kształt jest nieco inny. Warto jednak szukać punktów wspólnych poprzez odwoływanie się do myśli św. Teresy i innych mistrzów życia duchowego według reguły karmelitańskiej. Takimi punktami są na pewno poszukiwanie woli Bożej w naszym życiu i budowanie relacji z Jezusem poprzez ciągłe trwanie w Jego obecności.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com



Wokół myśli estetycznej sir Rogera Scrutona – rozmowa z Łukaszem Serwińskim, prezesem fundacji inCanto



Szymon Kozieja

Sir Roger Scruton jest filozofem, pisarzem i kompozytorem znanym z przywiązania do konserwatywnych wartości. Przez jednych kochany, a przez innych znienawidzony. Bez wątpienia należy do najważniejszych współczesnych myślicieli. Poruszył ważną kwestię kondycji współczesnej kultury. Z jakimi problemami się dziś ona boryka? Czy jest na nie remedium? Temat ten poruszyliśmy w rozmowie z kulturoznawcą i muzykiem, prezesem fundacji inCanto – Łukaszem Serwińskim, odpowiedzialnym m.in. za realizację festiwalu Musica Divina.

SK: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

ŁS: Na wieki wieków. Amen!

SK: W najbliższym czasie fundacja inCanto planuje wydać książkę związaną z postacią sir Rogera Scrutona. Z tego co wiem, ma być to zbiór róż-

nych jego tekstów ułożonych w spójną całość.

ŁS: Tak. Jest to zbiór esejów na różne tematy, których wspólną klamrę stanowi temat związany z muzyką, muzyką wysoką, klasyczną. Z racji tego, że jako fundacja mamy zaszczyt zajmować się muzyką sakralną,

to jest to temat nam bliski. Dlatego więc zdecydowaliśmy się opublikować właśnie tę książkę sir Rogera Scrutona.

SK: Co takiego niezwyklego jest w myśli sir Rogera Scrutona, że Państwo sięgnęli akurat po tę książkę?



ŁS: Najbardziej niezwykle są sam autor i jego niebywała erudycja, kompetencja oraz bardzo szerokie spojrzenie na świat kultury. Są to wielostronne zainteresowania, które oczywiście są związane z muzyką, ale nie tylko. Dotyczą też sztuk wizualnych i architektury. Oczywiście także i myśli konserwatywnej, z której sir Roger jest najbardziej znany. Myślę, że postać autora gwarantuje inspirującą i ciekawą zawartość książki dla czytelników w Polsce i wszystkich, którzy interesują się sztuką w ogóle.

SK: To bardzo ciekawa postać. Z tego, co mi wiadomo, mieszka na farmie, gdzieś w południowej Anglii, razem z żoną i dwójką dzieci. Żyje w otoczeniu przyrody, bez telewizora, sam uprawia ogród, piecze chleb. Prowadzi dość

tradycyjny tryb życia. To sprawia, że jest w oczach innych niezwykle osobą. Wokół niego pojawiły się jednak różne oskarżeń ze strony mediów i środowiska akademickiego.

ŁS: Co do trybu życia sir Rogera, wydaje mi się, że nie jest on w żaden sposób ekscentryczny. Myślę, że jest typowy dla akademika w jego wieku, który chce uciec od zgiełku miasta i od natłoku informacji. W jakimś sensie zachowuje w ten sposób higienę umysłu i stara się nie dopuszczać do siebie tylu bodźców, z iloma musi się mierzyć człowiek, który żyje w świecie bardzo intensywnie. Myślę, że to jest naturalny przywilej wynikający z jego statusu społecznego i z wieku. Co do oskarżeń wobec sir Rogera, wolałbym się do nich

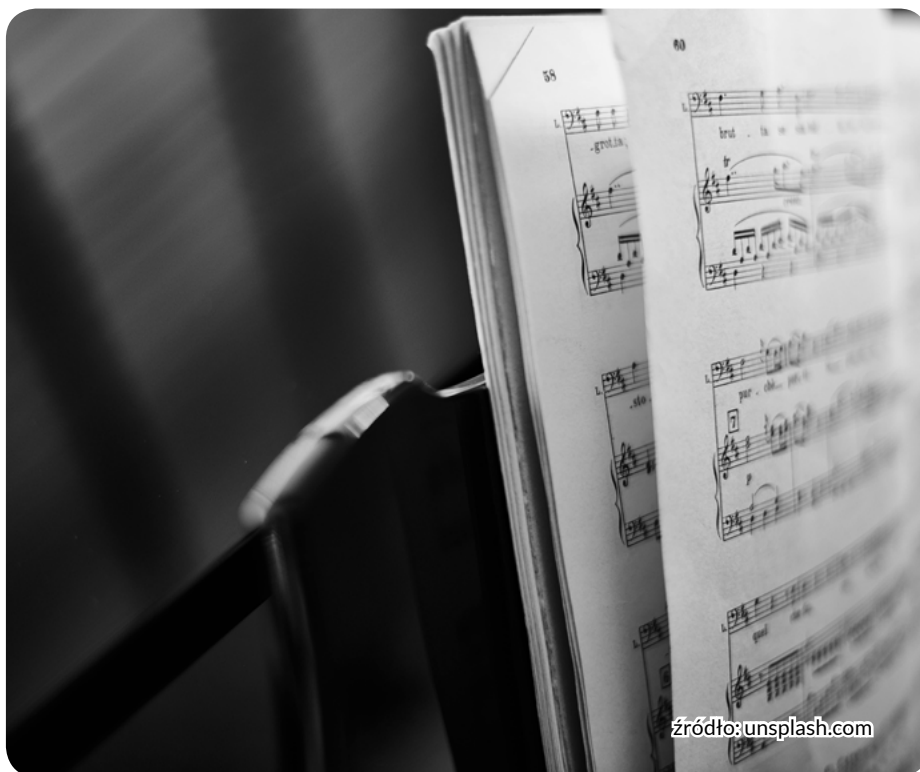
nie odnosić. Wydaje mi się, że są one zupełnie marginalnym wątkiem w obliczu jego działalności akademickiej i zaangażowania społecznego. Zostawmy plotki – one nie są ciekawe.

SK: Rozumiem. Jednak w następstwie ataków stracił on pracę m.in. w ministerstwie, w komisji przy resorcie mieszkalnictwa, gdzie zajmował się kwestiami architektury. Czy w obliczu tych wydarzeń oskarżenia są naprawdę marginalne? Czy nie wydają się krzywdzące? Czy mogą zaszkodzić jego myśli?

ŁS: Na tę sprawę trzeba spojrzeć w szerszym kontekście. Stanowisko, które zajmował sir Roger, nie było jego pracą, ponieważ został on zaproszony



do rządowej komisji na zasadzie członka honorowego. Nie pobierał za to wynagrodzenia. Był po prostu człowiekiem, który z racji swoich kompetencji został do tej roli zaproszony. Zrezygnowano z jego udziału w tej komisji na podstawie oskarżeń dotyczących słów, których nie wypowiedział. Można to sprawdzić w brytyjskiej prasie i nie tylko. Szereg jego wypowiedzi dotyczących m.in. George'a Sorosa i państwa chińskiego było zmanipulowane w rażący sposób. Należałoby sobie zadać pytanie: dlaczego myślisz sir Rogera dotycząca przecież, wydawałoby się, tak mało kontrowersyjnych dziedzin życia społecznego, jaką stanowi na przykład architektura, była dla kogoś aż tak niewygodna? Być może niewygodny był sam sir Roger z racji odmiennych poglądów na życie społeczne. Myślę, że to są kwestie polityki, która się w tym momencie rozgrywa na Wyspach. Być może też walki, która zaostrzyła się w kontekście brexitu. Tak naprawdę skupianie się tylko na tych słowach sir Rogera na pewno nie przyniesie odpowiedzi, dlaczego tak się stało. Co do pytania o to, czy oskarżenia zaszkodzą myśli sir Rogera, odpowiedź brzmi: na pewno nie. Myślę, że każdy, kto choć trochę poznał go jako autora, wie, że to, co mówi się o nim w prasie, w żaden sposób go nie kompromituje.



źródło: unsplash.com

SK: Co więc jest niezwykłego w myśli estetycznej związanej z muzyką, że wasza fundacja chce sięgnąć właśnie po rozmyślenia sir Rogera? Co on takiego do niej wprowadza?

ŁS: Pozwolę sobie odpowiedzieć na to pytanie od końca i w taki sposób uzasadnić, dlaczego właśnie my, jako fundacja niebędąca w sensie ścisłym wydawnictwem, bardzo chcemy wydać tę książkę.

Otóż bliska nam jest myśl, która przypisuje muzyce niezwykłą rolę. Ta niezwykłość polega przede wszystkim na naszym przekonaniu o tym, że muzyka może zmieniać człowieka. To tak najogólniej mówiąc. A przechodząc do konkretnego – wierzymy, że muzyka ma pe-

wien ścisły związek z wartościami moralnymi. Może stać się ich przekątnikiem, podobnie jak cała sztuka w ogóle. I ta myśl sir Rogera o sztuce wysokiej, kanonie sztuki, o tym, jak powinniśmy kształtować ten kanon, żeby pełnił właściwą rolę społeczną, o tym, jakie wartości powinna mieć sztuka, żeby w ogóle można ją było w taki sposób nazwać – to wszystko leży u podstaw misji naszej fundacji. Dlatego stwierdziliśmy w pewnym momencie, że książka sir Rogera stanowi kodeks naszego postępowania na gruncie muzyki. Jasne, fundacja zajmuje się muzyką sakralną, a więc znacznie węższym jej obszarem. Natomiast książka sir Rogera jest niejako uprzednia wobec naszej misji i bardzo chcemy, żeby została wydana po polsku.

SK: Jakie spojrzenie na kanon proponuje sir Roger? W jaki sposób konkretne wartości powinniśmy wprowadzać w muzykę? Jak ta muzyka je propaguje?

ŁS: Sir Roger nie definiuje takich postulatów tylko wobec muzyki, ale wobec sztuki w ogóle, więc na tym trzeba by się oprzeć. Pierwszym podstawowym postulatem, w dzisiejszych czasach nieoczywistym, jest ten, że sztuka podlega ocenie. To znaczy, że mamy pewne narzędzia, żeby ocenić dzieło sztuki pod względem jego wartości. To jest najistotniejszy postulat i najbardziej krytykowany w dobie sztuki wyzwolonej spośród wielu norm, która właśnie wymyka się ocenie z tej racji, że jest wolna. Jako taka cieszy się daleko idącą wolnością słowa, preradającą się nieraz w ucieczkę od jakiegokolwiek krytyki, uzasadniając ten fakt konsekwencją

swobodnej wypowiedzi, w której żadne reguły nie obowiązują. Temu sprzeciwia się sir Roger, pokazując, że dzięki ocenie dzieła sztuki możemy tę dyscyplinę rozwijać; nie tylko dla niej samej, ale także dla dobra społeczeństwa. Sztuka, w tym muzyka, jest według niego nośnikiem wiedzy emocjonalnej o tym, co należy czuć – tak to dokładnie definiuje. Ta wiedza jest nam, jako społeczeństwu, po prostu niezbędna do życia.

SK: Przez jaki pryzmat mielibyśmy tę muzykę, i ogólnie sztukę, oceniać? Czy według sir Rogera są pewne obiektywne sposoby oceny muzyki? Jakich narzędzi możemy użyć, aby właściwie oceniać sztukę?

ŁS: Podstawowym narzędziem do oceny jest niewątpliwie kanon, który się wykształcił przez setki lat. Dzięki niemu możemy porównać to, co tworzy

się współcześnie, z tym, co było tworzone kiedyś, żeby zdiagnozować, czy nowy wytwór sztuki posiada wartość samą w sobie. To kluczowy pogląd sir Rogera: materia dzieła sztuki powinna być odzwierciedleniem talentu, a czasem geniuszu jego twórcy. Przykład może odległy od muzyki: jeśli rzeźba sama w sobie ma mieć wartość, powinna być wykonana z cennego materiału oraz wskazywać na talent rzeźbiarza. Nie może być tylko jakąś formą wypowiedzi, narracji. Nie może być czymś ulotnym, co nas kieruje poza sam ten przedmiot. Dlatego w tym znaczeniu sir Roger jest mocno konserwatywny, ponieważ wszelkie sztuki performatywne, które nie kreują przedmiotu oceny estetycznej, ale wpisują się w pewną narrację, dla niego prawdopodobnie byłyby bezwartościowe. Dla niego dzieło sztuki posiada wartość samą w sobie. Niektóre dzieła są wybitne i te wchodziły w skład kanonu, co do którego następuje pewien rodzaj zgody społecznej. Inne po prostu są wybitne i nikt z tym nie polemizuje. Dla sir Rogera właśnie ten kanon, który z takim pietyzmem (i wśród kontrowersji) jest tworzony przez stulecia, powinien stanowić dla nas dzisiaj ważne narzędzie do oceny tego, co się dzieje we współczesnej sztuce. Bez znajomości kanonu nie potrafimy ocenić sztuki.



źródło: unsplash.com

SK: Kto miałby, według sir Rogera, decydować o tym, co jest kanonem?

ŁS: Tutaj nie znajdziemy jasnego postulatów, który wskazywałby na pewną rewolucję, jaka dokonała się w stosunkowo niedawnym czasie. Rewolucję, która przesunęła rolę oceniających z publiczności na wąskie grono krytyków. Wcześniej w oczywisty sposób odbiorcami sztuki wysokiej byli zwykli ludzie. Sir Roger wskazuje wady takiego rozwiązania. Jeśli tylko garstka ludzi, niekoniecznie artystów czy też ludzi z odpowiednimi kompetencjami, definiuje pojęcie sztuki, oznacza to, że znaleźliśmy się w ślepej uliczce. Najpierw powinniśmy się skupić na tym, żeby tę sytuację znormalizować i odwrócić. Chodzi o to, żeby znowu sztuka wysoka była w powszechnym obiegu, by była dyskutowana na przestrzeni życia społecznego, a nie zepchnięta na margines – dla snobów bądź dla ludzi zainteresowanych, w przeciwieństwie do reszty, zanurzonej w popkulturze. Jeśli sztuka znowu wejdzie do szerszego obiegu, to mechanizmy oceny wykształcą się same, bo znowu ludzie, jako społeczeństwo, będą decydowali o tym, co jest arcydziełem, a co nie. Myślę, że to naturalny proces, który przez dziesięciolecia, czy nawet setki lat, po pro-

stu funkcjonował. Nie istniała wówczas potrzeba powoływania specjalnych komisji. To się po prostu działo. Każdy artysta, który wystawiał swoją operę, drżał przed reakcją publiczności. Dzisiaj idziemy wabieni konkretnym nazwiskiem i boimy się krytykować twórcę, ponieważ w danym momencie właśnie jego się promuje. W rezultacie publiczność zamyka usta i bezmyślnie bije brawo, nie wyrażając przy tym swojej opinii.

SK: Do tej pory poruszyliśmy temat kultury wysokiej. Jak w ocenie sir Rogera przedstawia się popkultura? Odnosi się do niej w sposób neutralny czy zajmuje konkretne stanowisko?

ŁS: Myślę, że popkultura interesuje sir Rogera tylko jako fenomen społeczny albo zjawisko. Nie jest dziedziną, w której chciałby dokonywać sądów estetycznych, bo zwyczajnie nie ma nad czym się rozwodzić. Natomiast sporo miejsca poświęca popkulturze jako zjawisku powodującemu konkretne efekty społeczne, które zmieniają naszą percepcję. Zastanawia się także nad wpływem popkultury na sztukę wysoką we współczesnym świecie. Nie ocenia jednak samego zjawiska jednoznacznie źle. Myślę też, że bardzo jasno precyzuje, jakie są źródła



źródło: unsplash.com

popkultury, dlaczego akurat w tym momencie wyłoniła się ze sztuki wysokiej i zaczęła dominować. Moim zdaniem nie jest to temat do oceny moralnej. Przedmiot rozważań stanowi przestrzeń kultury w ogóle, tego, co ma w niej dominować w przyszłości. Roger Scruton patrzy raczej w przyszłość niż w przeszłość, mimo że jest konserwatystą.

SK: Chciałbym zadać jeszcze pytanie, które nasuwa mi się w obliczu całej naszej rozmowy. Mianowicie mówimy o kanonie, mówimy o sztuce, mówimy o ocenie społecznej. Czy według pana ludzie sami docenią kulturę wyższą? A może trzeba w pewien sposób pokazać ludziom jej piękno w procesie edukacji albo

w procesie wychowania? Co by powiedział o tym sam sir Roger?

ŁS: Uważam za wartościowy rozwój oddolnych inicjatyw, które wspierają życie kulturalne. Sprowadzając to do polskich realiów: nie wydaje mi się, żeby jakiegokolwiek rozwiązanie centralne – rządowe czy ministerialne, było w stanie zapewnić nam taką popularyzację i taką edukację w obszarze kultury, które skutkowałyby w przyszłości. Rola instytucji państwowych powinna się sprowadzać do wspierania tych oddolnych inicjatyw, pojawiających się teraz jak grzyby po deszczu, a które pomagają realizować ten główny cel. Wspomniał pan o edukacji, promowaniu sztuki czy kultury wysokiej. Zadaniem pasjonatów, którzy mają narzędzia i wsparcie, np. mecenat państwowy, jest w swojej społeczności wypełnianie tej roli. Moje stanowisko zbiega się z myślą sir Rogera, którego cechuje podejrzliwe nastawienie do wielkich rewolucji i odgórnie zadekretowanych tez. Dlatego z takim sceptycyzmem wypowiada się wobec dyrektyw unijnych, które mają zaprowadzić jakieś zmiany w obszarze wspólnoty europejskiej. Zawsze ten ruch powinien przebiegać od dołu do góry, a nie w odwrotnym kierunku.

SK: I właśnie w tym kontekście pojawia się państwa publikacja, właśnie tych esejów sir Rogera Scrutona. Czy oprócz tego są na polskim rynku dostępne jakieś inne jego książki, które warto by było polecić czytelnikom „Adeste”?

ŁS: Oczywiście! Sir Roger jest autorem blisko pięćdziesięciu książek. Myślę, że około trzydziestu tytułów zostało przetłumaczonych na język polski. Zainteresowanym kulturą wysoką poleciłbym książki: *Kultura jest ważna*. *Wiara i uczucie w osaczonym świecie* oraz *Piękno*. To dwie sztandarowe pozycje. Jest też sporo pozycji publicystycznych, w tym duża liczba dotyczących myśli konserwatywnej,

tradycji charakterystycznej dla kontekstu i środowiska, w jakim wyrastały. Nośny jest też temat ekologii, a więc książka *Zielona filozofia*. Jak poważnie myśleć o naszej planecie z pewnością zainteresuje wszystkich, którzy śledzą życie społeczne i włączają się do dyskusji.

SK: Dziękuję bardzo za ciekawą i budującą rozmowę.

ŁS: Bardzo się cieszę. Pozdrawiam czytelników „Adeste”.

SK: Dziękuję. Z Panem Bogiem.

ŁS: Z Bogiem.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło: unsplash.com



źródło: pixabay.com

Historia „pedofilii” (nie tylko w Kościele katolickim), cz. 1. Od początków do Soboru Watykańskiego II



Olga Wachowiec

Temat pedofilii to zagadnienie ani łatwe, ani przyjemne do rozważania. Nie jest to również sprawa, którą można zamknąć w ramy dwustronicowego artykułu. Postaram się zatem w serii kilku publikacji przedstawić nie tylko niewątpliwą problematyczność tego zagadnienia, ale i jego historię oraz zakres. Jak możemy przedstawić pedofilię na osi czasu? Czy są jakieś liczby, którymi można ją opisać? Co więcej – czy jesteśmy w stanie stwierdzić, gdzie tkwi sedno jej problemu w Kościele rzymskokatolickim? Pytań jest wiele, a wątków, które należy poruszyć, z pewnością jeszcze więcej. Analizując ten problem, cofniemy się trochę w czasie – zaczniemy od początku.

Pedofilia?

Pewnie niewielu z was wie, że tym słowem w języku medycznym zaczęto się posługiwać dopiero w XIX wieku. Austriac-

ko-niemiecki psychiatra i seksuolog Richard Freiherr von Krafft-Ebing w 1886 r. wydał dzieło *Psychopathia Sexualis*, w którym opisał szereg zaburzeń seksualnych. Wśród nich znalazły się

wtedy m.in. sadyzm, masochizm, homoseksualizm, fetysyzm oraz właśnie pedofilia – nazwana terminem *paedophilia erotica*. Tę ostatnią autor zdefiniował jako fakt wyłącznego zaintere-

sowania seksualnego dzieci w wieku poprzedzającym dojrzwianie płciowe.

Późniejszych definicji związanym z tym słowem możemy doszukiwać się dopiero w II poł. XX wieku. Zarówno Światowa Organizacja Zdrowia (WHO), jak i Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne (APA) na przestrzeni lat, wraz z rozwojem nauki, wielokrotnie podejmowały próby opisanie tego zaburzenia seksualnego. Co ciekawe, wciąż nie tylko udało się sprecyzować, czym dokładnie charakteryzuje się i objawia pedofilia, ale w toku dyskusji pojawiły się głosy negujące jej status zaburzenia psychicznego.

Pomimo to w 2010 roku w Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych (ICD-10) pedofilia sklasyfikowana została jako „seksualna skłonność do dzieci, chłopców lub dziewczynek, lub obojga, zwykle w wieku przedpokwitaniowym lub wczesnym pokwitaniowym” i od tego czasu zapis ten nie został zmieniony. W 2013 r. APA natomiast doprecyzowało kryteria tego zaburzenia, a także jego diagnozę i naturę. Oznacza to zatem, że na przestrzeni wieków dzisiejsza pedofilia nie była postrzegana w taki sposób, w jaki patrzy na nią nasza generacja.



W prawie karnym państw europejskich zaostreżenia związane z wykorzystywaniem seksualnym osób niedojrzałych płciowo zaczęły się pojawiać dopiero w XIX i XX wieku. Kontakty seksualne z dziećmi były jednak traktowane tak jak zgwałcenia. W Polsce przepisy związane z tym tematem zaczęły się pojawiać w 1918 r. Kodeks karny z 1932 r. ustanowił wiek 15 lat jako pełnoletniość, systematyzując tym samym przestępstwa na tle seksualnym wobec dzieci poniżej tej granicy wiekowej. W późniejszym czasie jeszcze kilkakrotnie modyfikowano poszczególne ustawy i nowelizowano penalizację oraz zakres zachowań pedofilskich. Najnowsze zmiany dotyczące tematu pedofilii wprowadzono stosunkowo niedawno, bo w 2009 r.

Kiedyś to było... Zaplecze kulturowo-historyczne

Chociażby fakt tak późnego nazwania pedofilii pokazuje nam, że przez wieki różnorodnie ją postrzegano i oceniano. Wiele zachowań dzisiaj niedopuszczalnych kiedyś stanowiło elementy kultur. Chociażby w starożytnej Grecji wzorem najszczerzej miłości było uczucie pomiędzy dojrzałym mężczyzną i dorastającym chłopcem. U Greków i Rzymian istniała cenzura jedynie religijna oraz polityczna – o cenzurze erotycznej w tamtych czasach w ogóle nie było mowy. Figury i obrazy dzisiaj rozumiane jako pornograficzne kiedyś stanowiły pochwale życia i radości.

Gdy w V wieku chrześcijaństwo zaczęło wypierać kulturę

antyczną, wzgardzono również stosunkami seksualnymi z dziećmi. Rozważając sprawę pedofilii, warto zwrócić uwagę na tło historyczne i kulturowe danego okresu.

Ważny w tej kwestii pozostaje fakt, że chrześcijaństwo nie zniosło niewolnictwa. Jak podaje prof. Arkadiusz Stempin,

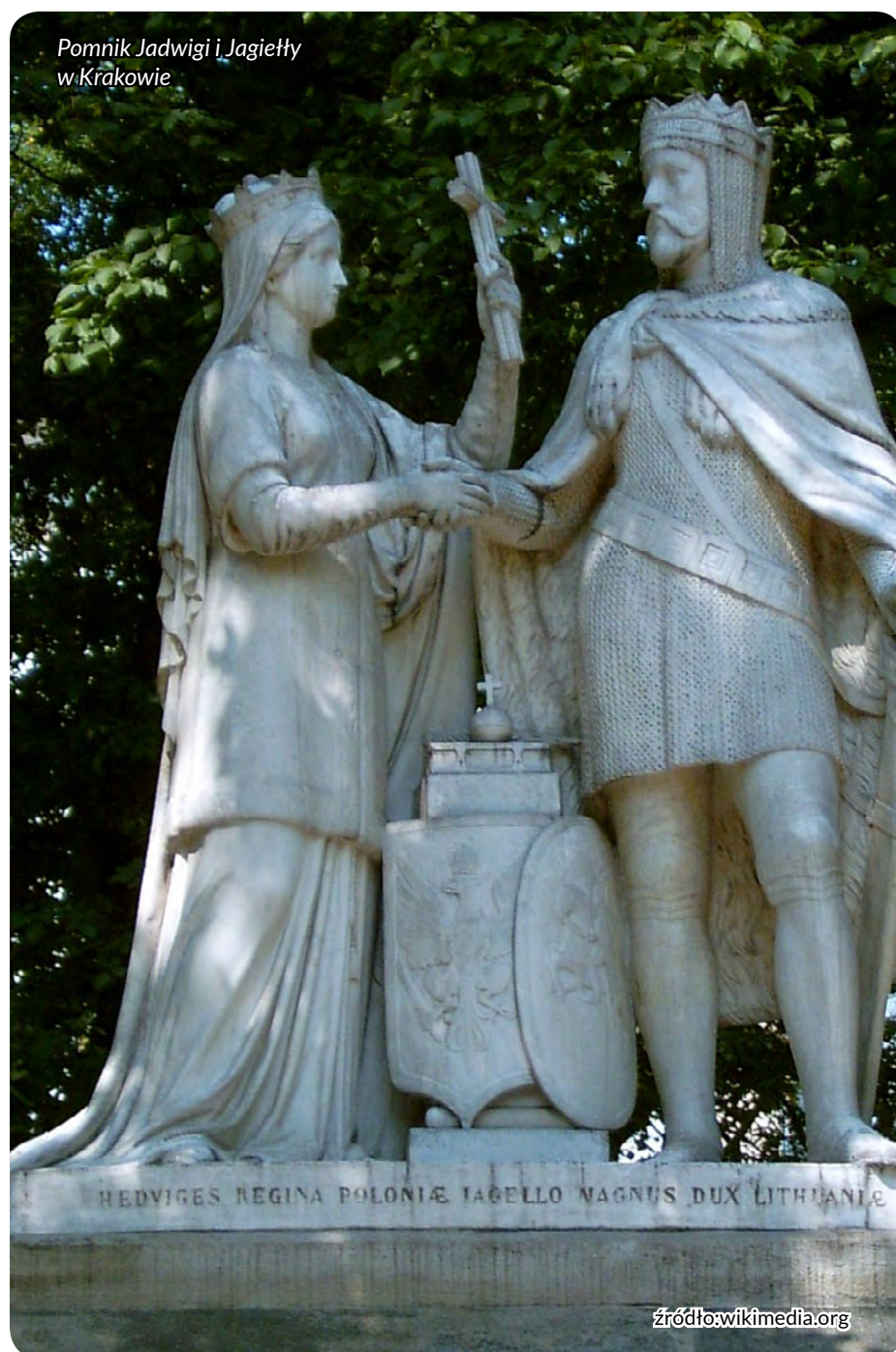
wybitny historyk i watykanista, zjawisko to dotyczyło również małych dzieci, które były narażone na styczność z dorosłymi dewiantami. Społeczne przyzwolenie na niewolnictwo i brak jego potępienia ze strony chrześcijaństwa oznaczał, że podczas gdy w przypadku osób kilku-, kilkunastoletnich pochodzących z rodzin zamożnych kontrolo-

wano kwestię małżeństw, sprawa dzieci-niewolników miała się już zupełnie inaczej. W takich sytuacjach seks z osobami nie-dojrzałymi seksualnie w żadnym stopniu nie był kontrolowany, a brak zakazu stawał się cichym przyzwoleniem.

Jak natomiast wyglądała sytuacja dzieci we wczesnych zaślubinach z osobami dorosłymi? Problem polegał choćby na tym, że w starożytności oraz w średniowieczu za próg osiągnięcia dojrzałości uważano około 12. rok życia. Zgody na małżeństwa udzielane były kilkuletnim dzieciom, choć już wtedy zaczęto regulować niektóre kwestie.

W kulturach pozaeuropejskich, np. w chińskiej, mimo że już dzieci były uznawane za istoty seksualne, w przypadku dziewczynek utrzymywano, że należy wstrzymać się ze współżyciem do czasu pierwszej miesiączki. W tym miejscu warto jednak zwrócić uwagę na to, że tego typu śluby występowały głównie w małżeństwach dynastycznych i w zamożnych rodach arystokratycznych.

Wybiegając dalej w historię, okazuje się, że szukając przykładów takich sytuacji, nie trzeba nam sięgać daleko. Król Polski, Władysław Jagiełło, poślubił swoją pierwszą żonę, Jadwigę



Pomnik Jadwigi i Jagiełły
w Krakowie

źródło: [wikimedia.org](https://commons.wikimedia.org)



źródło: wikimedia.org

Andegaweńską, gdy ta miała dopiero 12–13 lat.

Podobne małżeństwa, chociażby w niektórych rejonach Chin, do 1949 roku były czymś powszechnym. W bogatych rodzinach, by utrzymać prestiż, żeniono młodych chłopaków z dorosłymi kobietami. Oznaczało to, że od dnia ślubu zaczynali oni dzielić ze sobą jedną sypialnię oraz łóżko i nikt nie wnikał w to, kiedy faktyczne zaczynało się współżycie seksualne. Co więcej, w niektórych krajach islamskich czy w Afryce śluby dzieci z dorosłymi niestety nadal są praktykowane.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że do końca XX wieku publicznie pokazywane i publikowane w gazetach zdjęcia na-

gich dzieci nie było powodem do zgorszenia czy oburzenia. Co ciekawe, w tym samym czasie dużo bardziej szykanowano pornografię przedstawiającą ludzi dorosłych, w której większość współczesnego świata nie widzi już problemu.

Za murami Kościoła

Prof. Arkadiusz Stempień wspomina, że problematyczne, szczególnie w życiu Kościoła, było przede wszystkim życie w klasztorach. Starsi wiekiem zakonnicy mieli bowiem wymuszać kontakty seksualne na młodszych oblatach i nowicjuszach. Było to również spowodowane faktem, że w tamtym okresie do klasztorów oddawano chłopców nawet w wieku 8–10 lat.

Jak do tego wszystkiego miał się chociażby celibat? Jakkolwiek banalnie to zabrzmieć, warto zauważyć, że w pierwszych wiekach naszej ery on nie do końca... istniał. Mimo że już od początku uznawano go za coś zalecanego kapłanom. We wczesnych wiekach kapłani mogli żyć w związkach małżeńskich, powinni byli jednak unikać współżycia seksualnego ze swoimi żonami. Synody w Elwirze i w Kartaginie z IV wieku zabraniały współżycia oraz zakazywały prezbiterom posiadania dzieci na rzecz zachowania doskonałej czystości. Były to jednak synody lokalne, które nie dotyczyły całego Kościoła.

Patrząc na oś czasu, znajdujemy się w momencie, w którym Kościół katolicki skłania się ku wstrzemięźliwości, by już chwilę później, w V wieku zacząć krytykować stosunki seksualne z dziećmi. W późniejszym czasie, bo w VIII wieku, celibat stał się na Zachodzie prawem powszechnym. Został on jednak uprawnomożniony jako jedyna forma życia duchownego dopiero w XI wieku, za pontyfikatu papieża Grzegorza VII. Wtedy to podczas reformy gregoriańskiej nie tylko wzmocniono praktyki celibatu duchownych, ale również podjęto działania na rzecz podniesienia poziomu moralnego kleru.

Kolejną kluczową przemianę na polu wstrzeźliwości i czystości Kościół katolicki przeszedł w XII wieku podczas pierwszego soboru laterańskiego. Był on kontynuacją reform zapoczątkowanych przez papieża Grzegorza VII – w dużej mierze również skupił się zatem na celibacie oraz na problemach związanych z jego nieprzestrzeganiem. Ustanowiono wtedy dla prezbiterów, diakonów, subdiakonów i mnichów całkowity zakaz pożycia z żonami i konkubinami, zawierania związków małżeńskich oraz zamieszkiwania z innymi kobietami, poza kilkoma wyjątkami wynikającymi z konieczności.

Wyżej wymienione wydarzenia nie odnosiły się wprawdzie ściśle do kontaktów seksualnych z dziećmi, ale mimo to były one dużym krokiem w stronę dyscypliny seksualnej księży i biskupów. Czas na zmiany związane z osobami w wieku przedpokwitaniowym, szczególnie w zakonach, nastąpił w okolicy XIV w., gdy zabroniono zakonnikom dotykania chociażby habitów młodych oblatów.

Na przestrzeni wieków. Spowiedź Święta

W 1741 roku papież Benedykt XIV wydał konstytucję *Sacramentum Poenitentiae*. Sku-



Papież Benedykt XV

źródło: wikimedia.org

piła się ona na świętości sakramentu Spowiedzi Świętej, informując jednocześnie o sankcjach kanonicznych wynikających z popełniania przestępstw w tej materii. Kodeks wykroczeń miał być przejawem dbałości o odpowiednie zachowanie szóstego przykazania Dekalogu.

Niespełna dwa wieki później papież Benedykt XV pro-

mulgował w 1917 roku *Kodeks Prawa Kanonicznego* (*Codex Iuris Canonici, Pii X Pontificis Maximi iussu digestus, Benedicti Papae XV auctoritate promulgatus*). Był to pierwszy zapis nowoczesnych regulacji w prawie kanonicznym Kościoła katolickiego. Celem wydania tego dokumentu było odnowienie dyscypliny kościelnej. Dotyczył on zatem również Spowiedzi Świętej oraz jej świę-

tości. Stwierdzał także, że osądzanie wykroczeń kanonicznych leży w kompetencjach Świętej Kongregacji Świętego Oficjum.

Wydany tym razem przez samą Kongregację Świętego Oficjum w 1922 r. dokument *Crimen sollicitationis* (z łac. przestępstwo nagabywania) miał za zadanie ujednolicienie procedur wobec kapłanów z Kościoła katolickiego, którzy zostali oskarżeni m.in. o wykorzystywanie sakramentu pokuty do solicytacji, czyli do nakłaniania penitenta w czasie spowiedzi do czynności seksualnych. W jednej z części instrukcji odwołano się także do trzech przestępstw – homoseksualizmu, zoofilii oraz pedofilii. Tę ostatnią pod względem skutków karnych przyrównano do przestępstw solicytacji. Sam dokument *Crimen sollicitationis* instruował zatem, w jaki sposób należy postępować w przypad-

ku nadużyć seksualnych i w jaki sposób uczynić je przedmiotem procesu kanonicznego. Ten miał bowiem zdecydować finalnie o tym, czy oskarżony kapłan-spowiednik może dalej wykonywać obowiązki duszpasterskie.

Co było potem?

Spoglądając na dokument dotyczący przestępstw nagabywania, musimy uświadomić sobie, że jesteśmy już w XX wieku. W niedługim czasie po wydaniu *Crimen sollicitationis*, w 1962 r., otwarto 21. sobór powszechny, czyli sobór watykański II. W tym miejscu rodzą się pewne pytania. Na przykład – jakie zmiany w kwestii grzechów nieczystości wniósł on w życie Kościoła katolickiego? Jakie było dalsze postępowanie wobec księży-pedofili? Jak w czasach walki z przestępstwami seksualnymi

odnalazł się papież Jan Paweł II? A także – jaki jest głos na temat pedofili w Kościele płynący współcześnie z Watykanu?

Na te pytania – i mam nadzieję wiele innych – postaram się odpowiedzieć już w kolejnych numerach miesięcznika „Adeste”, ponieważ właśnie teraz, w moim Kościele, Kościele katolickim, trwa ogromna walka ze zjawiskiem przez lata pomijanym, tuszowanym oraz ignorowanym. Chcę zatem wierzyć, że zmagania te stanowią początek dobrej drogi ku zmianie na lepsze.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:pexels.com



źródło:wikimedia.org

Kwadrans dla Chrystusa



Mateusz Bednarek

Lipiec kojarzy się przede wszystkim z wypoczynkiem. Niektóre wspólnoty wprowadzają tzw. formację wakacyjną, by wpuścić trochę świeżego powietrza do swojego programu. Kościół katolicki urozmaica nabożeństwa prowadzone w parafiach, lipiec jest bowiem poświęcony Najświętszej Krwi Chrystusa, której jedna kropla wystarczyłaby do odkupienia całego świata. Może warto poświęcić kwadrans każdego dnia na kontemplację tej tajemnicy?

„Lecz On był przebity za nasze grzechy, zdruzgotany za nasze winy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas, a w Jego ranach jest nasze zdrowie” (Iz 53,5) – czytamy w Księdze Izajasza. Droga do zmartwych-

wstania to droga przez mękę. Jeśli mamy naśladować Jezusa, to także w sposobie życia i niesieniu codziennego krzyża. To niekiedy heroiczne zadanie. Św. Maksymilian Maria Kolbe mówił, że największą pokutą jest

codzienne i sumienne wypełnianie obowiązków. Przez wierność do jakości – to zasada, która zdecydowanie ma odzwierciedlenie w życiu duchowym. Zatem codzienna wierność obowiązkowi kosztuje czasem mnóstwo



Chrystus Śnieżny, aut.
Edward Okuń

źródło: wikimedia.org

wysiłku i duchowej krwi, którą trzeba przelać za wierność woli Bożej, lecz, jak pisze prorok Izajasz – w Jego ranach jest nasze zdrowie. Naśladowanie Jezusa to droga krzyżowa, ale z pomocą Jego łaski można ją przejść.

Krew Chrystusa

W dziele *W Jego Krwi nasze odkupienie*, wydanym przez Instytut ks. Piotra Skargi, czy-

tamy: „W Biblii słowo »krew« zostało użyte 378 razy, zaś imię Chrystus 367 razy (tłumaczenie Biblii Jerozolimskiej). Nie sposób mówić o Jezusie bez mówienia o Jego Krwi przelanej za nas. W ogóle nie da się mówić o Bożej obecności w Kościele (czyli w nas, wierzących) bez wspomnienia ofiary Jezusa Chrystusa”. Skoro tak, warto zbliżyć się do tzw. duchowości Krwi Zbawiciela. Nie będę

omawiać tutaj tej duchowości, jednak chciałbym zwrócić uwagę na jeden jej aspekt. Jest on widoczny w *Dzienniczku* św. Faustyny Kowalskiej: „Kiedy się modliłam przed Najświętszym Sakramentem, pozdrawiając Pięć Ran Pana Jezusa, przy każdym pozdrowieniu Rany czułam, jak strumień łaski tryskał w moją duszę i dawał mi przedsmak Nieba i zupełną ufność w miłosierdzie Boże” (Dz 1337).

Jak pisze św. Faustyna, nabożeństwo do Chrystusa Ukrzyżowanego, w tym przypadku do Jego Ran, nawet prowadzone własnymi słowami, zbliża do nieskończonego źródła Bożego miłosierdzia. Kościół daje nam zachętę do złożenia swego życia w Jezusowej krwi właśnie w lipcu. W parafiach prowadzone są nabożeństwa do Najświętszej Krwi Chrystusa. Forma i składowe modlitwy mogą się różnić, jednak centralnym punktem jest odprawienie litanii do Najświętszej Krwi Chrystusa przed Najświętszym Sakramentem. „Kult Przenajdroższej Krwi otrzymał honorowe miejsce w roku liturgicznym – po miesiącu maju dla Maryi i czerwcu dla Najświętszego Serca Jezusowego, Kościół ustalił, że miesiąc lipiec będzie poświęcony właśnie Krwi Zbawiciela. (...) Tak, jak Boże Ciało było rozwinięciem Wielkiego Czwartku, tak uroczy-

stość Najdroższej Krwi Jezusa była jakby przedłużeniem Wielkiego Piątku. Ustanowił ją dekretem *Redempti sumus* w roku 1849 papież Pius IX i wyznaczył to święto na pierwszą niedzielę lipca, a św. Pius X przeniósł je na 1 lipca” (*W Jego Krwi Nasze Odkupienie*, In. ks. Piotra Skargi, Kraków 2018, s.10-11).

Heroizm

Wierność codziennym obowiązkom niekiedy wymaga heroizmu i właśnie tak możemy walczyć o świętość – poprzez sumienność w tym, do czego powołał nas Pan. Bóg każdemu przeznaczył inne miejsce do pracy w polu zbawienia. Ktoś ma ewangelizować przez internet miliony ludzi, ktoś jest kapłanem, a ktoś, poprzez sumienne wypełnianie obowiązków stanu, uświęca siebie oraz swoich najbliższych. Ten ostatni przykład



źródło:yt.com

odnosi się do każdego, bo przecież każdy odpowiada za własne zbawienie, a także może pomóc w ocaleniu duszy małżonkowi, dzieciom, rodzinie, znajomym. W dzisiejszych czasach brakuje świadków wiary życia Chrystusem Ukrzyżowanym i Zmartwychwstałym. Heroizm jest towarem deficytowym. Nie tylko ze względu na hołdowanie „religii świętego spokoju”, ale

i na niezrozumienie, iż obok czynów bohaterskich w skali kraju, świata, równie istotny jest heroizm codzienności. Niech lipcowe nabożeństwo do Najświętszej Krwi Chrystusa pomaga złożyć wszystkie nasze problemy, słabości, codzienne krzyże w bolesnym i kochającym Sercu Zbawiciela.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chcesz o coś zapytać?



źródło:yt.com



źródło:pexels.com

„Proszę unikać stresu”



Marcei Hejwowski

Slow food, slow fashion, slow business – to tylko niektóre angielskie określenia wiążące się z nietypowym stylem życia, który się w naszych zabieganych czasach narodził. Mowa o ***slow life***. To ***lebensphilosophie***, która propaguje zwolnienie tempa, zdrowe jedzenie, uświadomienie sobie, co jest wartością w życiu i unikanie stresu. Ten ostatni jest dla nas często nieodłącznym towarzyszem zarówno w nauce i pracy, jak również w trakcie wypoczynku.

I to o nim będę pisał, a nie o „powolnym życiu” czy „wolnym jedzeniu” (i już wiadomo, czemu korzystamy z zapożyczeń – po polsku „to nie brzmi”, tak samo, jak nie brzmią dobrze tłumaczenia łacińskich paremii). Ale jest to ciekawy znak czasu, że w całym tym szalonym pędzie

i trybie *online* zrodziło się coś tak mocno odmiennego. Przedsada, przesyta zazwyczaj rodzi odruchy wymiotne, czyli mniej dobitnie mówiąc, reakcję odwrotną – ot, i kolejny przykład na potwierdzenie tej tezy.

„Dynamiczna relacja ada-

ptacyjna pomiędzy możliwościami jednostki a wymogami sytuacji [...] charakteryzująca się brakiem równowagi psychicznej i fizycznej” – tak polska Wikipedia „definiuje” pojęcie „stres”. Samo słowo „stres” jest zapożyczeniem – pochodzi od angielskiego *stress*, czyli, w pier-



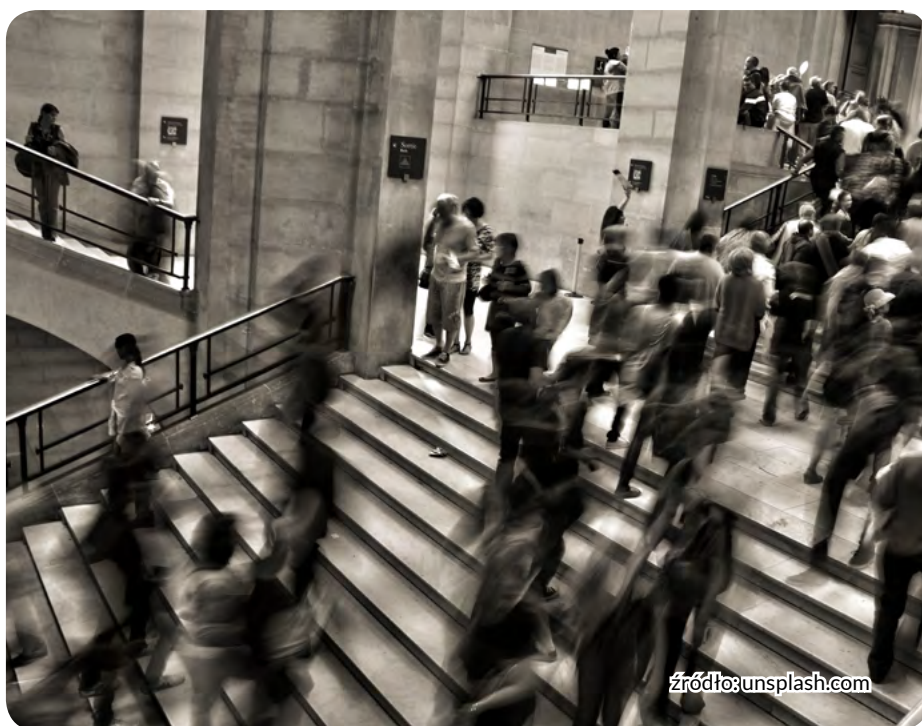
wotnych znaczeniach „naprężenie”, „ciśnienie”, „naciśnięcie”. Czasownik *stress* oznacza „obciążyć”, „podkreślić”, „zaakcentować”, „naciśnąć”. Można by powiedzieć, że ludzie posługujący się angielskim połączyli to psycho-fizjologiczne zjawisko z pojęciami takimi jak ciężar czy nacisk – obciążenie fizyczności i psychiki człowieka.

W Polsce obciążenie to jest ogromne. Wedle badania *The Workforce View in Europe 2017*, w którym przebadano około 10 000 pracowników z ośmiu krajów (Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch, Holandii, Szwajcarii i Polski), Rzeczpospolita przoduje, jeśli chodzi o odczuwanie stresu. Codziennie stres odczuwa 22% respondentów, a 24% co najmniej raz

w tygodniu. Dodatkowo 46% twierdzi, że cierpi stres często lub bardzo często. Częściej stresują się kobiety niż mężczyźni, młodszy niż starsi. To tylko jedno z badań dotyczące pracowników firm. Ale zjawisko to nie ogranicza się do pracy. Zamordystycz-

ne, niegrzeszące jakością polskie szkolnictwo też jest środowiskiem, w którym stres kwitnie. Zwłaszcza jeśli mówimy o tak zwanych „dobrych szkołach” czy większych kierunkach na państwowych uczelniach.

Inna sprawa, jak studenci i starsi uczniowie sobie z tym problemem radzą – bardzo często w trakcie dni roboczych nic z tym nie robią, a w weekend „odbijają” to sobie, „uderzając w melanz”. W wakacje funkcjonują w tym weekendowym trybie *non stop*. Ogromny stres większość czasu, a w czasie wolnym imprezowanie – to bardzo rujnuje człowieka. Owszem, lekki stres może być czymś stymulującym działanie, wręcz pozytywnym, i nigdy nie wyeliminujemy go całkowicie. Ale to dotyczy tylko okazjonalnego,



krótkotrwałego napięcia. Stres jest przyczyną osłabienia naszej aktywności, naszego myślenia, pamięci, może być przyczyną chorób (nadciśnienie, dolegliwości jelit, nowotwory to tylko początek listy). Osłabia odporność, ma również niekorzystny wpływ na gospodarkę, bowiem zestresowany pracownik to mało wydajny pracownik. Stres to jeden z „paskudnych raków” toczących nasze społeczeństwo – utrudnia naukę, spowalnia społeczeństwo i przymnaża pacjentów psychologom oraz lekarzom rozmaitych dziedzin.

Rafał Ziemkiewicz w publicystycznej powieści *Zgred*, kończąc wywód o tragicznej sytuacji na kolejach, panoszącym się kolesiostwie i finansowych

przekrętach, napisał następujące dwa zdania: „A pani doktor ci mówi: »przede wszystkim proszę się nie denerwować, unikać stresu«. Z choinki się urwała”. W książce tej główny bohater i narrator Rafalski (*porte-parole* Ziemkiewicza) zmaga się z cukrzycą – zaczyna prowadzić wolniejszy tryb życia, zdrowiej się odżywiać, uprawiać sport. Odkrywa jednak nieustannie, że nie da się zachować spokoju w dziennikarskim zawodzie. Akcja dzieje się w lutym, marcu i kwietniu 2010 roku, a więc czasie niespokojnym i burzliwym.

I gdy rozglądamy się wokół i gdy jesteśmy społecznie uwrażliwieni czy pracujemy w tak zwanych zawodach zaufania społecznego, dostrzec

możemy panoszącą się w naszym kraju niesprawiedliwość. Przybiera ona najróżniejsze formy – od biurokratycznych, urzędowych niegodziwości po nikczemności rodzinne. Trudno w takiej sytuacji, jeśli nie jest się nihilistą, zachować spokój i uniknąć zdenerwowania. Stres może stać się nawet przygniatający, jeśli dotyczy on kogoś z naszego bliskiego otoczenia.

Co wtedy? Gdzie szukać pokoju i wypoczynku?

Chrystus mówi: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i ucztujcie ode mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych” (Mt 11,28-29). Święty Bazyli Wielki następująco komentuje ten fragment: „[...] jarzmo Chrystusa jest słodkie, a jego ciężar lekki i daje odpocznienie tym, którzy je przyjmują; wszystko zaś, co obce nauce Ewangelii, jest uciążliwe i nie do zniesienia”. Czy pamiętamy o tym, że nasz wypoczynek jest w naszym Panu? Czy pamiętamy, że zanim wdrożymy inne środki, nasz stres powinniśmy oddać na modlitwie? Że by zaplanować nad codziennym stresem, warto każdego dnia znaleźć czas na spacer z różańcem w rękę? Że potrzeba nam wyciszenia na



rozmowie z Bogiem? Dobrze każdemu zrobi codzienne *lectio divina*, czyli rozważanie Pisma Świętego lub czas na adorację. A jeśli kogoś obowiązki przysgniatą mocniej, jeśli nie ma czasu na przebywanie każdego dnia przed Najświętszym Sakramentem, to może tym bardziej powinien o taki dłuższy moment się postarać. „Półgodzinna medytacja każdego dnia jest ci niezbędna, chyba że jesteś bardzo zajęty. Wówczas potrzebujesz całej godziny” – tak to wyraził święty Franciszek Salezy. Zarazem wszystko, co grzeszne, wyniszcza nas i pozbawia nas pokoju.

No, panie Hejwowski, powie ktoś, znowu uciekasz w religię, a miałeś mówić o stresie, zjawisku społecznym. A co ja mogę poradzić na to, że najwięcej zdeenerwowania pozwalamy sobie aplikować, nie rozwijając naszego życia duchowego modlitwą? Że nie pamiętamy, że *lex orandi lex vivendi* („prawo modlitwy prawem życia”)?

Ale to prawda, że nie jest to jedyny czynnik. Od dłuższego czasu (i być może czytelnik znający moje poprzednie teksty mnie za to zgani) wzbiera się we mnie przekonanie, że źródłem wielu chorób naszego społeczeństwa, takich jak chora ambicja, wyścig szczurów, chroniczne



źródło: pexels.com

zmęczenie i niewyspanie, stres czy ślepe dążenie za poglądami innych, jest nowoczesna technologia. Technologia, która miała być dla nas nieocenioną pomocą (i często jest) oraz narzędziem, a która stała się naszym zniewoleniem. Mówię tu o smartfonach i ich krewniakach. Wiem, brzmi to źle, staroświecko, dziwnie,

jeśli pomyśleć, że tekst ten jest w formie elektronicznej. Niezręczne jest pisanie w internecie o szkodliwości mediów elektronicznych. To tak, jak bycie eurosceptykiem w europarlamencie. Ale ktoś to musi robić.

Uzależnienie od telefonu, korzystanie z internetu kilka

godzin dziennie (statystycznie ponad 4 godziny w przypadku nastolatków) to także powody zwiększonej podatności na stres. Destruktywne jest też to, że wychodząc z pracy czy studiów, wciąż w nich jesteśmy – czytamy maile służbowe, odbieramy telefony od klientów, piszemy do współpracowników na Messengerze („o tym też już też pisałeś, Hejwowski” – zauważyć może pamiętliwy czytelnik, ale nic na to nie poradzę).

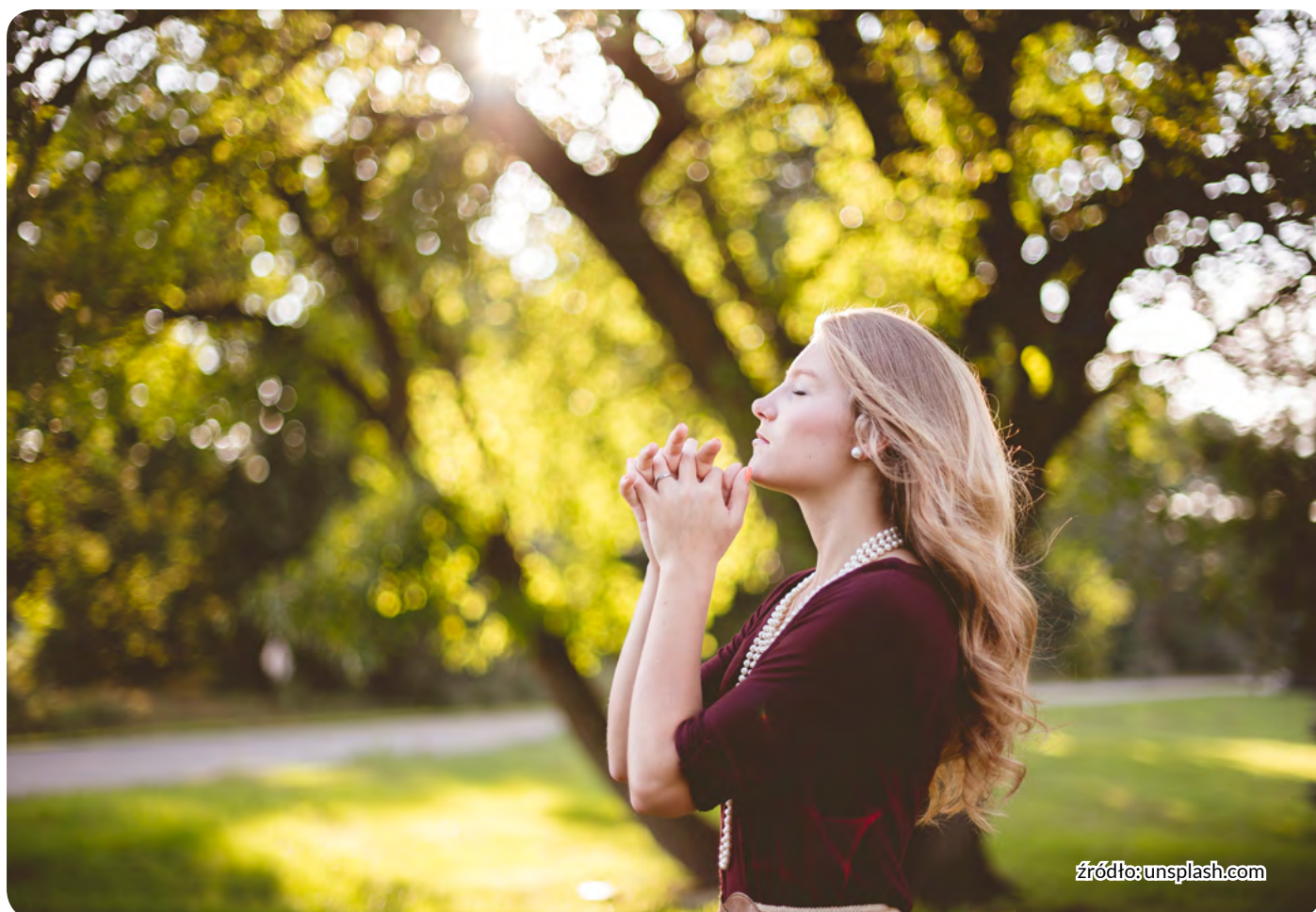
Ciągły dostęp do wiadomości kosztem funkcjonowania w świecie realnym tworzy w nas nadmierne napięcie. Jak już dawno potwierdziły badania,

siedzenie do późna przy telefonie czy laptopie ma wpływ na nasz sen. Niewyspanie zwiększa podatność na stres (i na manipulację, ale o tym kiedy indziej). Ogrom pracy zwiększa zdenerwowanie, a zarazem przez złą organizację często zarywamy noce, by się wyrobić przed deadline (pozdrawiam w tym miejscu swoją redakcję). Błędne koło.

Jest ono oczywiście jeszcze bardziej skomplikowane – chociażby przez to, że ten szalony aktywizm pozbawia ludzi pogłębionej refleksji, z umiejętności tworzenia własnych poglądów. Przyjmują oni pewne narzucane

z góry aksjomaty. Na przykład moje doświadczenie w rozmowach z ludźmi krytycznie nastawionymi wobec Kościoła mówi mi, że w większości przypadków ich krytycyzm oparty jest na frazesach (zresztą, co ciekawe, tych samych frazesach), a nie wysnuwa się go z rzetelnej „rozkminy”.

„Hejwowski, miałeś o stresie, a piszesz o wszystkim!” – powie ktoś. Ależ tu leży pies pogrzebany! Stres nie jest zjawiskiem autonomicznym. Jego wszechobecność w naszych czasach i w naszych środowiskach jest elementem układanki, a nie jednym z obrazów w muzeum chorób współczesnych. Jego pa-



źródło: unsplash.com

liwem jest nasze osłabienie czy atrofia życia duchowego, chory wyścig szczurów i niezdrowa ambicja, przeciążenie elektroniką, rozpad relacji, zmęczenie, niewyspanie i brak czasu na refleksję, wyciszenie.

Co zatem postuluję? Myślę, że nie ma magicznej recepty. Jest ona prosta, choć trudna – zwolnijmy. Ograniczmy dzienny dostęp do internetu, więcej czasu spędzajmy offline. Zbadajmy swoje potrzeby, jeśli idzie o sen i dajmy swojemu organizmowi się wysypiać. Rozdzielmy pracę od życia prywatnego, jeśli tylko możemy. Znajdźmy czas na modlitwę. Jeżeli stres zbytnio nas przygniata, jeśli wydaje nam się, że to nie tylko kwestia wyżej wymienionych rzeczy, nie bójmy się skorzystać z pomocy specjalistów. Poszukajmy rzeczy, któ-



re nas uspokajają (np. hobby) i znajdujemy każdego dnia czy tygodnia czas na nie.

Dawno nie powtarzałem tak często jak w tym tekście słowa „stres”. W tym wakacyjnym okresie na pewno można od niego odpocząć. Wszystko spowalnia, a ciepła pogoda sprawia,

że łatwiej nam się rozleniwić. Jest to też czas na pogłębienie relacji z Bogiem w czasie pielgrzymek czy rekolekcji. Urlop to katalizator – bez niego nie moglibyśmy normalnie funkcjonować. Zachęcam szanownych czytelników do głębszego zastanowienia się nad swoim funkcjonowaniem w roku roboczym. Przyszedł na to świetny moment.

Zróbcie to, naprawdę. Nie wchodźcie ponownie w błędne koło nieprzemyślanego aktywnizmu i napięcia.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*





źródło:unsplash.com

W służbie Króla



Wojciech Gałek

Podczas mszy świętej przy ołtarzu zawsze przebywa grupa młodych chłopaków ubranych w białe komże bądź alby. Czasem coś przyniosą, odniosą, podadzą albo zadzwonią dzwonkami. Czasem, gdy brak innych osób, przeczytają epistołę. Ministranci. Na pierwszy rzut oka wielu wiernym wydają się oni zwykłymi, mało znaczącymi pomocnikami księdza. Sęk w tym, że poznanie pełni prawdy wymaga dokładniejszego spojrzenia na ich służbę.

Dlaczego? Ano dlatego, że w liturgii nic i nikt nie pojawia się przez przypadek. Może poza aberracjami. Ale ministranci się do nich nie zaliczają. Ubrani na biało chłopcy to nieodzowny, wymagany element mszy. A zatem: kim są i czemu lub komu służą bohaterowie tego artykułu – ministranci?

Lekkie brzemie, słodkie jarzmo

No właśnie. Służba. Wydaje się, że jest to obecnie dość niepopularne słowo. Praca, zatrudnienie – owszem. Staż? Do czasu, ale też może być. Wolontariat? No ba! A służba? Już niekoniecznie. Dlaczego?

Być może po prostu współczesny człowiek chce w stu procentach stanowić o sobie. A bycie sługą czegoś lub kogoś wiąże się z jakimś poddaństwem czy wręcz bezwolnością. W praktyce nie różni się to od współczesnych form zatrudnienia, ale jednak swoim brzmieniem budzi niechęć. Człowiek może dla ko-

goś pracować, ale nie chce służyć.

Tymczasem właśnie od łacińskiego *ministro*, oznaczającego służbę, pochodzą określenia ministrant oraz minister (pamiętajcie o tym, drodzy politycy). I na przekór naszej mentalności, takie poddanie się komuś nie jest poniżeniem, ale może być (a czasem nawet po prostu jest) zaszczytem.

Zdarzyło się kiedyś, że członkowie pewnej grupy na Facebooku publikowali swoje zdjęcia ze służby przy ołtarzu. Jednocześnie pojawiały się żartobliwe w formie przechwałki, komu to się pomagało do mszy: jeden biskupowi, trzeci opatowi, piąty kardynałowi. I choć w tych komentarzach raczej nie było próby wywyższenia się ponad innych, to słusznie cała ta litania została podsumowana czyjąś krótką wypowiedzią: „a ja służyłem na mszy Panu Jezusowi”. Krótko, zwięźle i na temat. Ten jeden komentarz precyzyjnie przedstawił cel bycia ministrantem.

W pierwszej kolejności msza święta jest pamiątką męki, śmierci i zmartwychwstania Pana Jezusa. Jest bezkrwawą ofiarą, w czasie której kapłan przemienia na ołtarzu dary ofiarne (chleb i wino) w Ciało

i Krew Chrystusa. A teologia uczy, że zarówno ofiarą, jak i kapłanem jest sam Jezus. Dlatego o księżach odprawiających mszę mówi się, że działają *in persona Christi* – w osobie Chrystusa. I księdzu bezpośrednio służą ministranci. A co za tym idzie, w pewnym sensie przyczyniają się do uobecnienia ofiary Zbawiciela.

Dostłownie i niedostłownie

Każda liturgia ze względu na swój charakter zawiera pewną

liczbę symboli. Wyrażają się one w architekturze budynku, przywdziewanych szatach, wypowiedzianych słowach oraz gestach. Te ostatnie zazwyczaj przynależą celebrazom. W końcu to ksiądz odprawia mszę i to on skupia na sobie najwięcej uwagi. Niemniej jednak zarówno ministranci, jak i wierni zgromadzeni w kościele również dokładają cegiełkę do budowy symbolicznej warstwy mszy. W dawnej liturgii rzymskiej istniało wiele gestów i działań wykonywanych przez ministrantów, które miały konkretne



źródło: wikimedia.org



źródło: pixabay.com

znaczenie, ale nie przetrwały okresu reform.

Jednym z najpiękniejszych gestów o głębokiej wymowie było całowanie przez ministrantów dłoni księdza odprawiającego mszę oraz podawanych i odbieranych od niego utensyliów liturgicznych, np. ampułek z winem i wodą. W ten sposób podkreślany był sakramentalny wymiar święceń kapłańskich. Przez namaszczone dłonie we mszy św. działa sam Chrystus, któremu ministrant służy.

W dawnej formie rytu rzymskiego, gdy zapewne duża część wiernych nie znała łaciny, ministranci pełnili jeszcze inną rolę. Swoją obecnością przy ołtarzu reprezentowali lud zgromadzony na mszy świętej. Odpowiadali na wezwania księdza, wypowia-

dali słowa modlitw pokutnych itp. Współcześnie, choć jest to mniej wyraźne, ministrant wciąż pełni analogiczną rolę. Nowe formularze mszy świętej teoretycznie dopuszczają brak większego grona wiernych podczas liturgii, ale obecność ministranta wciąż jest wymagana.

Do dziś istotną rolą ministranta jest kadzenie i dzwonienie. To pierwsze jest bezpośrednią kontynuacją staro- i nowotestamentalnych form kultu bożego. Z kolei używanie dzwonków, choć ma głównie wymiar praktyczny i pozwala zorientować się, kiedy klękać lub wstawać, nie jest pozbawione warstwy symbolicznej.

Kadzenie, podobnie jak dzwonienie, pojawia się w pewnych sekwencjach zależnych od

kontekstu. Ruchy trybularzem lub uderzenia w dzwonki zazwyczaj powtarzają się w cyklach opartych na liczbie trzy, co bezpośrednio nawiązuje do Trójcy Świętej. Ponadto w wielu parafiach w Polsce ministranci ognia, okadzając Najświętszy Sakrament, na każdy szeroki ruch kadzielnicy wykonują również trzy delikatniejsze wachnięcia. Dlaczego? Wystarczy wspomnieć dawny śpiew błagalny, w trakcie którego trzy razy padało wezwanie „Kyrie eleison”, trzy razy „Christe eleison” i znów trzykrotnie „Kyrie eleison”. Trzy razy trzy, by podkreślić najświętszy charakter każdej osoby Trójcy.

„...do Boga, który młodość moją rozwesela”

Najczęściej wśród ministrantów można zauważyć chłopców, ewentualnie nastolatków i młodych studentów. Wypatrzenie wśród nich osoby dorosłej to już trudniejsza sprawa. Czy ministrantura jest po prostu zajęciem dla młodych?

Poruszając ten temat, znów warto zacząć od dawnej liturgii i jej konkretnych zasad. Otóż w klasycznym rycie rzymskim głównymi posługującymi przy ołtarzu powinni być klerycy. Także współcześnie właściwymi osobami do pełnienia służby przy ołtarzu są diakoni, akolici i lektorzy. To właśnie im w pierwszej

kolejności powinien przysługiwać zaszczyt bycia ministrantem. A raczej trudno oczekiwać, by do seminarium przyjmowano kilkuletnich chłopców.

Oczywiście norma normą, a możliwości możliwościami. W przypadku braku odpowiednich zasobów kadrowych do służby przy ołtarzu dopuszczano inne osoby: świeckich mężczyzn lub chłopców. Jednakże ze względu na to, że zastępowali oni domyślnych ministrantów,

zakładali sutanny przynależące osobom związanym ze stanem kapłańskim. Niestety współcześnie ten quasi-kapłański charakter ministrantury trochę się zatarł.

Nie zmienia to jednak faktu, że bycie ministrantem to nie zabawa dla dzieci, którym koniecznie trzeba znaleźć zajęcie. Nie jest to także forma autopromocji ani próba wyróżnienia się. Ministranci pod pewnymi względami powinni być elitą. I nie – nie

oznacza to bynajmniej próby wyrugowania chłopców z służby przy ołtarzu. Wręcz przeciwnie. To piękny obraz, gdy księdzu towarzyszy kilku lub kilkunastu młodych ministrantów. Miejmy jednak na uwadze to, że nie jest wstydem dla dorosłego mężczyzny założyć komżę lub albę. Wręcz przeciwnie.

W 1683 roku na wzgórzu Kahlenberg nieopodal Wiednia odprawiono mszę dziękczynną z okazji pokonania Turków. Jednym z ministrantów był król Polski, Jan III Sobieski. Jeśli on się nie ośmieszył, dzwoniąc dzwoneczkami i całując kapłana po rękach, to czemu miałby z tego powodu czuć się niekomfortowo współczesny Jaś lub pan Jan? Bóg, któremu służy ministrant, jest wciąż ten sam.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*



źródło: wikimedia.org



źródło: unsplash.com

Artysta ponad prawem



Jan Borowski

Przyzwyczailiśmy się już, że sztuka może, czy nawet powinna szokować. Panuje także względna zgoda co do tego, że artysta, szukając odpowiednich środków wyrazu, ma prawo przekraczać pewne normy. Z jednej strony twórcy przyzwala się na łamanie konwenansów, a nawet bulwersowanie dla osiągnięcia wyższego celu; z drugiej – prace nazbyt kontrowersyjne, zwłaszcza uderzające w sferę religii i wartości, spotykają się z oburzeniem i oskarżeniami o obrazę uczuć. Czy aby na pewno słusznie?

Przede wszystkim, aby zrozumieć ten problem, trzeba zauważyć pewną rozbieżność interesów. Artysta, tworząc, skupia się głównie na treści, którą pragnie przekazać. Dla niego zamysł i autentyczność wyrazu

są wartościami najwyższymi, przed którymi muszą ustąpić wszystkie inne. Najczęściej jednak nie ma on wpływu na to, kto zetknie się z jego dziełem. Kultura masowa sprawia, że nawet jeśli dzieło kierowane jest

do pewnego określonego grona odbiorców, nie sposób uniknąć zetknięcia się z nim innych osób, które niekoniecznie muszą podzielać system wartości autora ani zgadzać się z jego przekazem.



Hierarchie

Nietrudno się zatem domyślić, że taki stan rzeczy będzie prowadził do sytuacji konfliktowych, w których ktoś zawsze musi być poszkodowany. Albo ogranicza się wolność sztuki, albo znieważa cudzy system wartości. Całe szczęście nie jest to sytuacja patowa – da się znaleźć złoty środek. Konieczne jest w tym miejscu zrozumienie, że każdy z nas ma nieco inaczej

ukształtowaną drabinę wartości. Oczywiście między ludźmi z podobnych środowisk, na przykład między katolikami, te różnice będą mniejsze, ale trudno znaleźć na świecie dwoje ludzi, którzy zgadzaliby się w każdej kwestii etycznej.

Niektórzy sądzą, że jest to naturalne oraz że tak być powinno. Gdyby jednak tak faktycznie było, w każdym konflikcie wartości ktoś musiałby zostać

skrzywdzony – nie istniałby bowiem system wartości lepszy ani gorszy. Tymczasem wybór jednego z dwóch jest czasem konieczny. Subiektywne spojrzenie na wartości krępuje ręce i knębluje usta. Praktycznie uniemożliwia racjonalny wybór. Jeżeli zatem chcemy dojść w tych rozważaniach do jakichkolwiek konstruktywnych wniosków, przyjmijmy, że jeden system wartości może być od drugiego doskonalszy. Czyli albo wolność sztuki odgrywa istotniejszą rolę niż wartości, dajmy na to, religijne, albo jest zupełnie na odwrót.

Prymat autentyczności

Wolność sztuki nierozdzielnie wiąże się z wolnością słowa. Ta zaś w naszym liberalnym społeczeństwie odgrywa zasadniczą rolę – jeśli nie w rzeczywistości, to przynajmniej w sloganach. Taki stan rzeczy nie utrzymywał się jednak odwiecznie. Cofnijmy się na moment do wieku XVIII, kiedy na gruncie przygotowanym przez coraz bardziej demokratyzujące się nastroje intelektualne Europy żył i działał Jean-Jacques Rousseau. W jego filozofii korzenie ma tak dziś powszechna kultura autentyczności.

Dla Rousseau moralność jest pójściem za wewnętrznym głosem, wołaniem, które każ-

dy człowiek ma w sobie, a które zagłuszają normy społeczne czy miłość własna. Ocalić prawdziwą etykę – tę wypływającą z natury – może wyłącznie autentyczny kontakt z własnym wnętrzem. Co więcej, na to, kim człowiek jest, nie mają wpływu siły zewnętrzne (jak społeczeństwo i jego prawa). Każdy sam stanowi o tym, kim ostatecznie będzie – i dobrze, jeśli czyni to na podstawie owego głosu. Kolejne pokolenie filozofów wydało Johanna Herdera. W swej myśli poszedł on jeszcze dalej, przede wszystkim zaznaczając, że każdy żyje na własny, wyjątkowy sposób, każdy ma „własną miarę”. Istnieje zatem pewien indywidualny styl bycia

człowiekiem. Jeżeli go nie dostrzegę, przegapię sens mojego życia. Być może spostrzeżenia te brzmią dziś nieco trywialnie, coachingowo. Ówczesnie nie był to jednak powszechny sposób myślenia, a wręcz można zaryzykować stwierdzenie, że okazał się on rewolucyjny.

Autentyczność skrzywiona

Herder umarł w roku 1803, lecz jego myśl oddziaływała żywo na twórców rozpoczynającej się właśnie epoki romantyzmu. Stała się właściwie podwaliną pod nowoczesną wizję artysty. Sztuka od tego czasu zaczęła być czymś więcej – twórczością, a nie, jak dotychczas,

jedynie odwzorowywaniem zastanej rzeczywistości. Niestety nie trzeba było długo czekać na pojawienie się przeróżnych wypaczeń tego „ideału autentyczności”. Głównym, a aktualnym niestety do dziś, było przeciwstawianie samookreślenia i moralności. Zdaniem niektórych wewnętrzna autentyczność musi stoczyć walkę z narzuconymi normami i ideami, aby oczyścić się z ich wpływu.

Takie pojmowanie autentyczności prowadzi jednak do indywidualizmu i anarchii, a w konsekwencji do chaosu. Jeżeli wyznacznikiem mojej moralnej normy jest moje wnętrze, to dla każdego norma ta jest inna.



źródło:unsplash.com

To zaś, jak powiedzieliśmy już na wstępie, nieuchronnie prowadzi do nierozwiązywalnych konfliktów. Co za tym idzie, czyjaś prywatna opinia nie może mieć wartości z tego tylko względu, że wypływa z jego wnętrza i jego własnych przekonań. To za mało. Wartościowy głos w jakiejś sprawie, czy to zwykła wypowiedź, czy dzieło artystyczne, nie może być zwykłym bełkotem. Musi być zdalny do dyskusji, poparty racjonalnymi przesłankami i mieć pewien cel. Wolność opinii, rozumiana jako przyzwolenie na bełkot, tak naprawdę nie powinna mieć racji bytu. Prawdziwie wartościowa jest wolność dyskusji, gdzie każdy wyrażający swoją opinię jest gotów przedstawić argumenty na jej obronę, a ewentualnie także przyznać się do błędu.

Dyskurs ze sztuką w tle

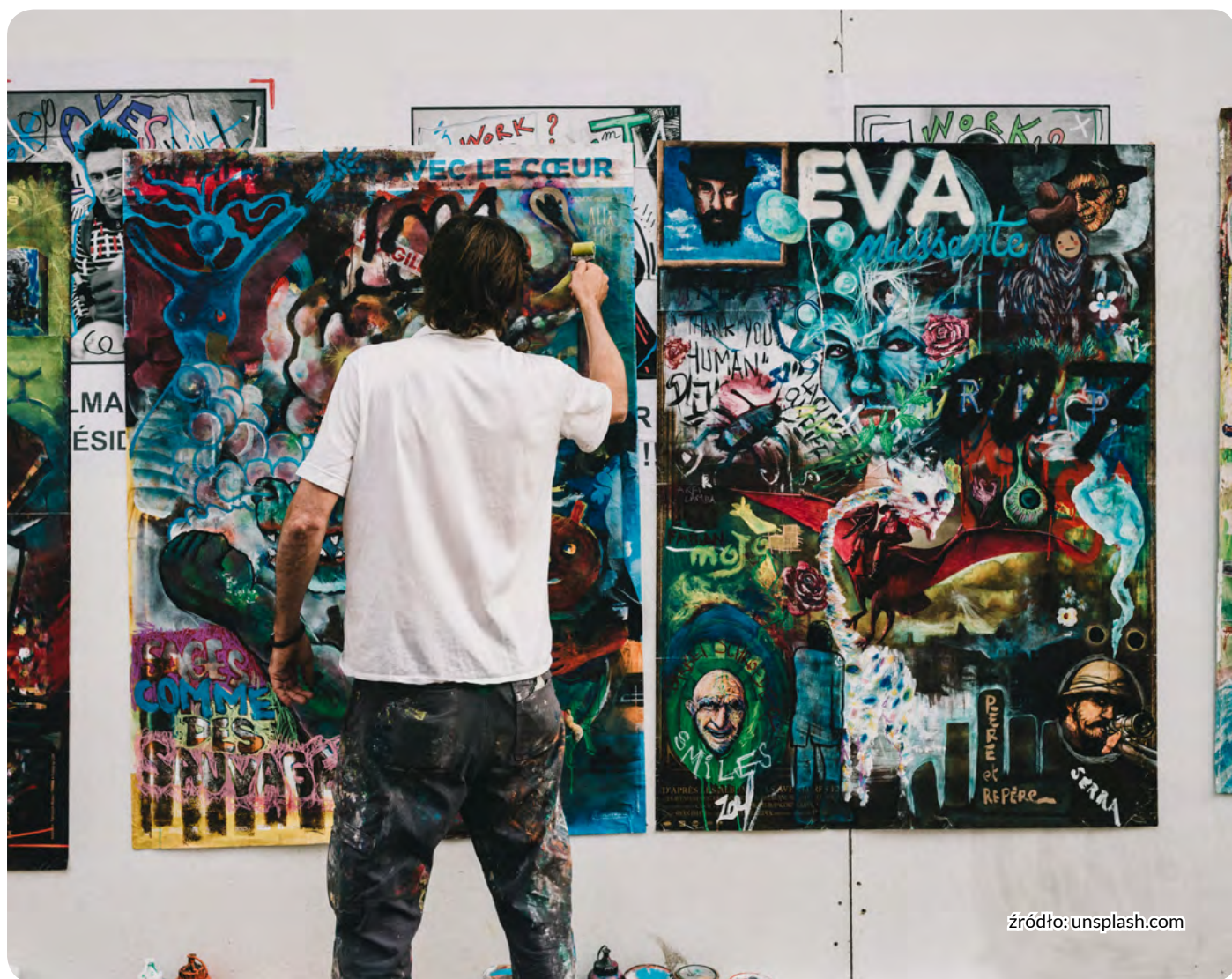
W praktyce nie tak łatwo jest jednak rozpoznać, kiedy do dyskusji wkrada się bezsens, albo kiedy adwersarz zupełnie nie dąży do wymiany poglądów, a skupia się na biciu piany. Szczególnie, gdy środkiem wyrazu są nie słowa, a inne formy sztuki. Pole do interpretacji poszerza się, więcej zależy od dobrej woli obu stron i chęci do ugody. Zrozumiałe jest także, że sztuka to idealne medium, by wskazywać na problemy, przy których zwy-



źródło: pixabay.com

czajny dyskurs zawodzi. Jasne, że sztuka ma prawo istnieć dla samej siebie, nie wnosząc żadnej treści do dyskursu, opierając swą wartość wyłącznie na walorach estetycznych. Język sztuki i język werbalny są więc pod niektórymi względami kompletnie różne, a normy odnoszące się do nich niekoniecznie muszą być identyczne. Z pewnością jednak sztuka nie może przeradzać się w bełkot, ani też służyć odwracaniu uwagi od istotnych kwestii.

Kolejną rzeczą, której artysta zdecydowanie powinien się wystrzegać, jest zgorszenie. Z katolickiego punktu widzenia powinno to być naturalne. Na kartach Ewangelii Jezus wielokrotnie ostrzegał przed grzechem siania zgorszenia – szczególnie wśród dzieci i słabych w wierze. Lecz także w perspektywie niereligijnej wydaje się oczywiste, że takie postępowanie jest co najmniej niekorzystne – człowiek zrażony zamyka się bowiem na nasze argumen-



źródło: unsplash.com

ty, nie chce nas dłużej słuchać. W przyszłości będzie w najlepszym wypadku omijać nas z daleka, jeżeli nie stanie do walki przeciw nam. Nie ma w tym dla nas żadnej korzyści.

Zawsze pomocny złoty środek

Trzeba więc znaleźć wyważone granice. Bulwersowanie do pewnego stopnia jest dopuszczalne – o niektórych kwestiach wręcz nie da się mówić tak, aby nikt nie poczuł się obrażony. Odrobina zdrowego

rozsądku jest wystarczająca do skutecznego osądzenia, jak daleko wolno się posunąć. Istnieje jednak granica między bulwersowaniem w słusznej sprawie a perfidną obrazą. Artysta nie może być tutaj traktowany na innych zasadach niż ogół. Co prawda, sztuka w swym przekazie faktycznie różni się od zwykłej dyskusji. Jednak twórca z samego tylko faktu, że pokazuje światu swoje prace, nie zasługuje na nadzwyczajne traktowanie, nawet jeżeli są one udane. Wolność sztuki nie jest przyzwoleniem na wszystko.

Tak samo jak opinię ogranicza jej zdolność do dyskusji, tak i wartość sztuki nie może być niepodważalna – choć tu margines jest szerszy. Z samego tylko faktu, że dzieło jest efektem pracy twórczej, nie wynika przecież jego istotność.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chcesz o coś zapytać?*